

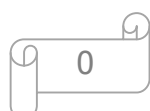


***LYN STONE***



***Magia miłości***

***Z antologii „Magia miłości”***



*Drogie Czytelniczki!*

*Na krótko przed napisaniem tej opowieści miałam sposobność odwiedzenia Londynu. Spacerowałam po Hyde Parku, zwiedzałam muzea oraz inne zabytki i sławne miejsca. Prawdziwym olśnieniem było dla mnie porównywanie dzisiejszych planów miasta z dawnymi, powstałymi w dziewiętnastym wieku. Zmiany są ogromne, lecz wiele elementów pozostało w niezmiennym stanie. Nie musiałam nawet przymykać powiek, żeby oczyma wyobraźni ujrzeć powozy sunące jeden za drugim i ubranych w koszule z wysokimi kołnierzami dandysów, którzy uchylają kapeluszy na widok dam.*

*W Cotswolds jedliśmy z mężem podwieczorek w przytulnej herbaciarni, a potem zboczyliśmy z utartych szlaków turystycznych, żeby odwiedzić kilka urokliwych miejscowości. To moja ulubiona część Anglii, więc między innymi tam umieściłam akcję noweli.*

*Z przyjemnością czytam o czasach regencji i tak samo chętnie zabrałam się do pisania o tej epoce. Mam nadzieję, że lektura mojego opowiadania dostarczy wam miłych wrażeń.*

*Posyłam znaczące spojrzenie zza wachlarza i składam dworski ukłon, życząc wyjątkowo radosnych świąt.*

*Lyn Stone*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Londyn, 1815*

– Jak sadzisz, który jest nowym hrabią?

Ukryta za wachlarzem Bethany Goodson zamaskowała ciekawość, udając, że rozgląda się po sali balowej, a później zerknęła ponownie na drzwi, które mijali właśnie dwaj dżentelmeni. Popatrzyła na rozemocjonowaną kuzynkę Eufemię.

– Moim zdaniem ten ubrany po cywilnemu. Człowiek wysoko postawiony nie chodzi w mundurze, nawet jeśli niedawno wrócił z wojny.

– Obaj są niesamowicie przystojni – uznała Eufemia. – Zostawiam ci żołnierza – dodała, dając Beth lekkiego kuksańca. – Cywil jest mój.

– Doskonale wiesz, że nie reflektuję na żadnego z nich. – Musiała jednak przyznać, że nawet z tej odległości bracia Keithowie robili wrażenie, ubolewała więc w duchu nad swoją decyzją wytrwania w paniństwie. Upiła łyk ratafii i odstawiła kieliszek.

– Kto ich znał jako chłopców, pomyśli dwa razy, nim zacznie się z nimi zadawać.

– Co ty mówisz? – zaciekawiła się Eufemia. – A dlaczego?

– Jack i Colin bardzo rozrabiali. Podobno nieszczęsna ciotka, która ich wychowywała, z miejsca kładła się do łóżka, gdy przyjeżdżali na ferie, i wstawała dopiero po otrzymaniu wiadomości, że dotarli bezpiecznie do szkoły. Podczas wakacji to były istne diabły.

– Poznałaś ich, nim u was zamieszkałam?

– Tak. Posiadłość earla sąsiaduje z naszym majątkiem. Hrabina była kuzynką pastora. W parafii organizowano rozmaite uroczystości, w których dzieci także mogły uczestniczyć: procesje ku czci świętego patrona, pikniki i tak dalej. Tam się widywaliśmy.

– Procesje dla rozrywki? Uwielbiam życie na prowincji! – Eufemia wybuchnęła śmiechem, nadal bezwstydnie przyglądając się ciemnowłosym braciom. – Są bardzo podobni, ale wojskowy zdaje się nieco starszy.

– Nikt przy mnie nie wspominał, jaka jest między nimi różnica wieku. – Beth daremnie próbowała sobie przypomnieć ten szczegół. – Byli chyba cztery albo pięć lat starsi ode mnie. Z pewnością ten ubrany po cywilnemu jest starszy. Włożył wieczorowe ubranie, odpowiednie dla earla, a drugi nadal paraduje w mundurze.

Odwróciła się na moment, żeby zamienić kilka słów z przechodzącymi obok gośćmi. W tej samej chwili Eufemia uszczypnęła ją boleśnie tuż nad mankietem rękawiczki.

– Au! Oszalałaś? Co z tobą?

– Beth! Idą tu! – szepnęła Eufemia. – Błagam, uśmiechnij się! Może zapragną, aby ich nam przedstawiono?

– Zapragną? – Beth zmarszczyła brwi. – Nie bądź taka afektowana i przestań gapić się na nich jak dziecko na wystawę sklepu z cukierkami.

Beth odwróciła się znowu. W tej chwili gotowa była wyprzeć się pokrewieństwa z Eufemią. Ta jednak nie dała za wygraną i chwyciła

mocno ramię Beth, siłą obróciła ją we właściwym kierunku, aż ujrzała przed sobą szeroki tors okryty granatowym sukmem. Wzrok jej powędrował ku górze wzdłuż podwójnego rzędu złotych guzików. Zlustrowała czarny fular, szerokie klapy oraz wysoki kołnierz. Na wyjątkowo szerokich ramionach spoczywały złote epolety.

Zerknęła nieco wyżej. Na policzku nikła blizna, zmysłowe usta rozciągnięte w uśmiechu, piwne oczy promieniejące radością.

Natychmiast spuściła wzrok. Niewybaczalny błąd. Wojskowy miał na sobie dopasowane bielutkie spodnie, które leżały jak ulał, niewiele pozostawiając wyobraźni. Od takich widoków w głowie legną się głupie myśli.

Beth zerknęła znów na usta. Na miłość boską, gdzie by tu uciec spojrzeniem?

– Panno Goodson, od razu panią poznałem. – Usta przemówiły.  
– Proszę mi wybaczyć zbytnią śmiałość, ale znamy się od dawna...

Beth poczuła, że się rumieni. Zaraz będzie czerwona jak piwonia.

– Obawiam się, że pamięć ma pan lepszą od mojej. Wspomnienie o braciach Keithach pozostało żywe, ale po tylu latach powinni jednak zostać jej przedstawieni. Ostatnio widziała ich jako trzynastolatka, lecz nie miała wątpliwości, kim są: ciemne włosy, dołeczki – wszystko jak dawniej.

– Proszę mi podać rękę, droga przyjaciółko – szepnął – bo w przeciwnym razie dostojne matrony wytargają mnie za uszy. Jestem Jack. Jack Keith.

Wysunęła dłoń, którą ujął, pochylił się i złożył pocałunek, nieomal muskając wargami rękawiczkę. Nie rozluźnił uścisku, więc sama cofnęła rękę.

– Pan się zapomina, poruczniku. Dobrze rozpoznałam stopień?

– Znakomicie. Proszę nie uważać mnie za natręta. Zapewniam, że łączy nas bliska znajomość. O ile dobrze pamiętam, obiecałem pani diadem. Długo zwlekałem, lecz obietnicę stanowczo podtrzymuję.

Uśmiechnął się tak serdecznie, że Beth złagodniała.

– Witamy w kraju.

Dopiero teraz spostrzegła, że Eufemia wdała się w ożywioną rozmowę z drugim Keithem, Colinem, który odziedziczył tytuł hrabiego. Zapewne ktoś go jej przedstawił, mogła więc rozmawiać swobodnie, lecz nie można wykluczyć, że starszy brat poczynił sobie równie śmiało, jak Jack i machnął ręką na konwenanse.

Beth nie miała pretensji do kuzynki rozglądającej się za dobrą partią, bo ta z braku środków do życia mogła liczyć jedynie na hojność pana Goodsona. Za cały kapitał miała urodę i postanowiła drogo się sprzedać. Beth najlepiej wiedziała, jak bardzo Eufemia lęka się powrotu do życia w ubóstwie, które czekało ją, jeśli nie znajdzie bogatego męża. Miała dobre serce, ale pozostawała dotąd nieczuła na jego porywy i kierowała się zdrowym rozsądkiem.

Jack wziął Beth pod rękę i zwrócił się do brata.

– Spójrz, Colin, kogo tu spotkałem. Pamiętasz dziecięcy bal na trawniku Jolitów? Podkradaliśmy ciastka z konfiturą. Ona stała na czatach.

– Racja! I nie wydała nas. Dobrze mówię?

– Owszem, milordzie. – Bem dygnęła. – Głównie dlatego, że byłam waszą współpracowniczką i miałam udział w łupach. – Spojrzała na Jacka, potem na krewną. – Poruczniku, oto moja kuzynka, panna Eufemia Meadows. Nie sądzę, żeby was sobie przedstawiono.

– Łaskawa pani... – Jack ukłonił się i z galanterią ujął podaną dłoń.

Beth zgromiła spojrzeniem Colina.

– Widzę, że pan, milordzie, sam przedstawił się Eufemii. Obdarzył ją rozbajającym uśmiechem, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie dba o konwenanse.

– Jako współspiskowcy zapomnijmy o tytułach i mówmy sobie po imieniu. Jestem Colin – zmienił temat.

– Winna jestem panu gratulacje, lordzie Whitworth... Colinie – poprawiła się z wahaniem Beth. – Chociaż muszę przyznać, że bardzo mnie zasmuciła wiadomość o niedawnej śmierci waszego stryja. Wkrótce dowiedzieliśmy się, że jego syn zmarł przedwcześnie. Z pewnością byliście obaj mocno przygnębieni.

– Dziękuję za wyrazy współczucia – odparł Colin. Nie wyglądał na zasmuconego. Pierwsze takty melodii przerwały rozmowę. – Wybaczenie, ale marzę o tańcu z panną Meadows. Potem chętnie poznamy londyńskie nowinki. Długo nie było nas w kraju, musimy nadrobić zaległości.

– Jak pan sobie życzy, milordzie – odparła Beth. Nie miała ochoty na odnowienie znajomości z earlem, lecz starała się być uprzejma.

– Chciałaby pani zatańczyć? – spytał Jack. Wykluczone, pomyślała. W tym stanie ducha z pewnością raz po raz deptałaby po jego lśniących butach. Czowała się przy Jacku mocno zakłopotana.

– Nie, dziękuję. Okropnie tu duszno, taniec byłby zbyt męczący.

Otworzyła wachlarz i zdała sobie sprawę, że w języku salonów ten gest coś znaczy. Ale co, do diabła? Zostaw mnie w spokoju? Mów śmielej? Zdezorientowana przestała się wachlować.

– Powinna pani zaczerpnąć świeżego powietrza – uznał Jack. – Wyjdźmy na taras.

– Bez przyzwoitki? – Beth szukała pretekstu, żeby taktownie uwolnić się od jego towarzystwa. Była wściekła, że traci pewność siebie.

– Bez obaw. Nie będziemy sami. Zebrało się tam spore towarzystwo. Mamy wyjątkowo ładny listopad. Jaki ciepły wieczór! Colin i ja przywieźliśmy chyba dobrą pogodę z kontynentu.

Beth zmieniła zdanie i postanowiła mu towarzyszyć.

– Wracacie prosto z pola bitwy?

– Niezupełnie. Byliśmy obaj pod Waterloo z trzynastym pułkiem dragonów, a po klęsce Napoleona kwaterowaliśmy na przedmieściach Paryża. Gdy doniesiono nam o śmierci kuzyna, natychmiast wróciliśmy do kraju.



Wyszli na taras. Beth narzuciła na ramiona kaszmirowy szal i popatrzyła na gwiazdy, z grzeczności wypyując o służbę pod rozkazami Wellingtona. Jack dowcipnie opowiadał o bitewnych przygodach, ale w jego głosie słyszała osobliwy ton świadczący o tym, że wojna okazała się bolesnym doświadczeniem.

– Wiadomo, jak zmieni się teraz życie lorda Whitworth. Z tytułem wiążą się określone powinności. A pan? Dalej w wojsku? – zapytała.

– Nie. Wojna skończona, postanowiłem więc odejść ze służby i poszukać innego zajęcia.

– Co to będzie? – spytała uprzejmie, bo wiedziała, że panowie uwielbiają rozmawiać o sobie. To pierwsza zasada dotycząca kontaktów z płcią przeciwną.

Odpowiedź Jacka była dla niej ogromnym zaskoczeniem.

– Dość tych dywagacji o moim nudnym życiu. Co u ciebie, Beth? Mogę chyba mówić ci po imieniu, prawda? Znamy się od wieków.

– Czyżby? – odparła, udając, że piorunuje go wzrokiem. – Jak to możliwe, łaskawy panie, skoro żyję na tym padole nieco ponad dwadzieścia lat? Zresztą dawniej też widzieliśmy się tylko parę razy.

– Pamięć cię zawodzi. Naszych spotkań było więcej – sprostował. – Podczas ostatniego zabrałem ci satynową wstążkę i zawiązałem ją na szyi ulubionego psa mego stryja. Nie ulega wątpliwości, że to zdarzenie ugruntowało naszą przyjaźń.

Beth wybuchnęła śmiechem. Doskonale się bawiła. Nie szukała kandydata na męża, ale przecież nic złego się nie stanie, jeśli spędzi trochę czasu w towarzystwie czarującego kawalera.

– Zgoda, mówmy sobie po imieniu. Stawiam jeden warunek: naprawisz szkodę i ofiarujesz mi dawno obiecany prezent. Nie musi to być diadem, wystarczy ładna wstążka.

– Pamiętam, że była niebieska. Szkoda, że nie schowałem jej na pamiątkę. – Dłonią w białej rękawiczce odgarnął ciemny lok opadający jej na czoło. Znała ten ukradkowy gest, tak szybki, że nie zdążyła się cofnąć.

– Zobaczymy się znowu? – spytał. – Może jutro?

Istotnie poczyniła sobie nazbyt śmiało, pomyślała zdecydowana zdusić w zarodku jego zainteresowanie. Nie łudziła się, że wpadła mu w oko. Rzecz w tym, że posag miała spory, a Jack wkrótce zostanie bez zajęcia.

– Poruczniku...

– Mam na imię Jack – przypomniał.

– Jack, powinieneś wiedzieć, że każdy dżentelmen, nawet szczerze oddany lub znany od lat, traci czas, czyniąc mi awanse. Zdecydowałam, że nie wyjdę za mąż, i zamierzam wytrwać w tym postanowieniu.

– Nie przypominam sobie, że bym się zdeklarował, ale zapamiętam twoje słowa. – Jack wzruszył ramionami. – Wiem, że niewiele jest dam gotowych spojrzeć łaskawie na takiego biedaka jak ja.

– Czekaj cierpliwie, a trafisz na odpowiednią pannę – poradziła z uśmiechem. – Dodam tylko, że twoje położenie nie ma wpływu na moją decyzję. Ani mi się waży tak myśleć!

– Odnowimy naszą przyjaźń, jeśli przysięgnę, że nie zamierzam obsypywać cię cieplarnianymi kwiatami ani układać wierszy sławiących twoje brwi? Chcę tylko zaproponować wspólną przejażdżkę po parku. Znajdziesz dla mnie czas jutro po południu? Poświęcisz mi chociaż godzinkę?

– Chyba tak, pod warunkiem, że pozostaniemy tylko przyjaciółmi. Nie licz na nic więcej. – Uśmiechnęła się z wdzięcznością, niemal pewna, że Jack dobrze ją rozumie.

– Trudno. Postaram się ukryć rozczarowanie. — Ujął jej dłoń. – Skoro wyjaśniliśmy sobie tę sprawę, powiedz mi, dlaczego postanowiłaś wędznąć w panieństwie. Jakiś głupek złamał ci serce?

Beth odetchnęła z ulgą, zadowolona, że postawiła na swoim.

– Nic z tych rzeczy. Po prostu nie zamierzam poślubić utytułowanego dżentelmena, a kandydat wolny od brzemienia tytułu byłby z kolei nie do przyjęcia dla mego ojca.

– Brzemię tytułu? Ciekawe określenie!

– Tak to widzę. Rozejrzyj się wokół, Jack. Wszyscy są do tego stopnia zaabsorbowani własną pozycją w wielkim świecie, że nie mają czasu pomyśleć o innych, mniej uprzywilejowanych. Panowie z Izby Lordów wprowadzają ustawy, które przynoszą korzyść im samym oraz innym arystokratom. Ich żony są tak zajęte bywaniem i organizowaniem przyjęć, że ledwie starcza im czasu na rodzenie

potomstwa, co stanowi rzekomo ich najważniejszy obowiązek. Nie będę tak żyć.

– Masz inne wyjście? Urodzenie przesądza o naszej egzystencji. Co chciałabyś zmienić? – wypytywał, zainteresowany jej poglądami.

– Spróbuję zmienić świat na lepsze, zamiast trwonić pieniądze w pogoni za najnowszą modą, podawać herbatę i plotkować.

Przez chwilę rozważał w milczeniu jej słowa, jakby rzeczywiście trafiły mu do przekonania.

– Co szanowny baron Goodson myśli o twoich zamierzeniach? – spytał – Ośmielę się zaryzykować twierdzenie, że nie przykłada do nich większej wagi.

– Trafiłeś w sedno – westchnęła Beth. – Z każdym dniem coraz bardziej nalega, żebym wyszła za mąż. Nic dziwnego, skoro finansuje już czwarty sezon. Co roku zapowiada, że jeśli dobrowolnie nie pojedę na owo targowisko próżności do Londynu, każe mnie tam zawlec siłą. Tym razem oświadczył, że sam wybierze mi męża.

– Ach tak? Wolno spytać, kto jest tym szczęśliwcem?

– Artur Harnell, trzeci baron w tej rodzinie. Znasz go?

– Tak. – Jack zmarszczył brwi. – Był w szkole ze mną i z Colinem Straszny cymbał. Najlepiej zrobisz, trwając przy swoim postanowieniu. Sądzę, że Harnell w ogóle nie nadaje się na męża. Mam go usunąć z drogi? – spytał pół żartem, pół serio, kładąc dłoń na lśniącej rękojeści paradnej szabli.

Beth rozpromieniła się, ujęta jego troskliwością.

– Dzięki za propozycję, ale sama potrafię go zniechęcić.

– Jeśli chcesz urzeczywistnić swoje zamierzenia, będą ci potrzebne pieniądze. Mogłabyś je dostać od bogatego męża.

– Ale czy zechce mi je dać? – odparła ze smutnym uśmiechem. – Gdybym zdecydowała się na ślub, byłby panem swego majątku, a także moich pieniędzy. Jeśli zostanę starą panną, będę dowolnie rozporządzać sumą odziedziczoną po babce od strony matki.

– Jesteś naiwna, jeśli sądzisz, że naprawisz wszystkie krzywdy na tym świecie. Zawsze będą istnieć bogacze i biedacy. Taka jest kolej rzeczy.

– Wiem ale gdyby każdy człowiek posiadający odpowiednie środki z własnej woli i w granicach finansowych możliwości wspierał paru nieszczęśników, sytuacja biedoty szybko by się poprawiła.

– Zapewne, lecz ze smutkiem stwierdzam, że nie ma co liczyć na cudowne rozmnożenie filantropów.

– Ja również niczego nie zdziałam, jeśli wyjdę za utytułowanego lorda. Takie małżeństwo to pułapka. Udaremniłoby wszelkie moje wysiłki.

– Uważasz, że Whitworth jest taki sam jak inni bogacze?

Nie jesteś o nim najlepszego zdania, co? Chyba niesprawiedliwie go oceniasz.

– Spójrz na niego – odparta Beth, wskazując ręką szklane drzwi dzielące taras od sali balowej. – Już bryluje w salonach. Nie łudź się, że dobrowolnie zrezygnuje z odgrywania roli wielkiego pana. Wkrótce zauważysz, że patrzy na ciebie z góry. A może już tak się czujesz?

– Mam w tej kwestii inne zdanie, ale rozumiem, że twoje poglądy są ugruntowane. Zdradź mi zatem, ilu nieszczęśników postanowiłaś wyciągnąć z biedy, urzeczywistniając śmiały plan?

– Na razie czworo. Z czasem może będzie ich więcej, zależnie od tego, ile pieniędzy dostanę w spadku po babci. Teraz muszę zwodzić ojca, żeby udaremnić jego małżeńskie plany względem mojej skromnej osoby – dodała z rosnącą determinacją.

– W takim razie musimy coś wymyślić, żebyś poczuła się bezpieczna. Trzeba odwrócić uwagę twego ojca. – Uśmiechnął się nagle i zawołał: – Mam pomysł! Wyjdź za mnie! Będę uszczęśliwiony, jeśli z moim błogosławieństwem roztrwonisz spadek, a nawet posag, wspierając ubogich.

Beth wybuchnęła śmiechem.

– Cenię twoje poczucie humoru. Od razu zrobiło mi się weselej.

– Mówiłem serio, Beth. Mam pieniądze. Powinienem od razu wyznać, że...

– To piękny gest i doceniam go, ale spadek po babce otrzymam po skończeniu dwudziestu pięciu lat. To duża suma, mogę więc wiele zdziałać, jeśli zachowam zdrowy rozsądek. Postanowiłam, że nie wyjdę za męża. Odpowiada mi życie starej panny. Było tylko udało mi się zwodzić ojca do najbliższych urodzin.

– Kiedy wypadają?

– Piętnastego stycznia.

Po jego minie poznała, że jest szczerze przejęty i szuka sposobu, żeby jej pomóc. Był naprawdę zatroskany. Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

– Wolno spytać, czy zamierzasz się teraz zalecać do jakiejś panny? Mówię o kilku najbliższych tygodniach.

– Miałem starać się o ciebie, ale z miejsca dostałem odprawę. Co ci chodzi po głowie?

– Pamiętasz nasze zabawy w teatr? Ty i Colin dla rozrywki urządzaliście przedstawienia.

– Oczywiście, że pamiętam. Na przemian graliśmy role łajdaków i bohaterów. Jestem szczerze zdziwiony, że do dziś wspominasz tamte wygłupy. Od czasu do czasu występowałaś z nami, prawda? Raz byłaś królową. Tim Bartholomew porwał cię, zaciągnął na drugi brzeg sadzawki i trzymał w niewoli. Wrzeszczałaś jak opętana, zrobiło się okropne zamieszanie. Omal nie dostał w skórę, ale udało się wytłumaczyć dorosłym, że gramy w sztuce. Byłaś fantastyczna.

– Masz ochotę na kolejny występ? Ogłosimy zaręczyny?

– Czyje? – zapytał, szczerze zainteresowany.

– Nasze! – odarła roześmiana. – Ty dasz odpór damom, które bez wątpienia uganiają się za tobą, zauroczone przystojnym bratem earla, a ja nie będę musiała znosić awansów cymbała Artura Harnella. Będziemy mieć święty spokój do świąt, a może i dłużej, do Trzech Króli. Wtedy nastąpi dramatyczne zerwanie. Odegramy je na oczach zdumionych gapiów.

– Ależ będzie skandal!

Beth nabrała pewności, że wszystko pójdzie jak z płatka.

– Zawiedziony Harnell do tego czasu znajdzie sobie inną pannę, a mnie dostanie się spadek po babci. Zyskam finansową niezależność, a ty będziesz mógł poszukać odpowiedniej kandydatki na żonę.

Jack w zamyśleniu potarł policzek i przygryzł wargi. Beth wstrzymała oddech i obserwowała uważnie grę jego fizjonomii, gdy analizował jej plan. Czyżby znalazł jakieś niedociągnięcia?

– I cóż?

Zaskoczył ją, klękając na jedno kolano, choć byli na tarasie pełnym gości. Chwycił jej rękę i powiedział głośno:

– Och, panno Goodson, moja ukochana!

Rozmowy ucichły i wszyscy zwrócili się w ich stronę. Kilka spacerujących par z ciekawości podeszło bliżej, żeby popatrzeć, co się dzieje.

– Poruczniku? – rzuciła Beth z ręką na gorsie.

– Umieram z miłości do pani. Błagam, niech się pani nade mną zlituje!

– Jakże to? – odparła głośno, przewyciężając zakłopotanie. Powtarzała sobie w duchu słowa wielkiego Szekspira: „Świat jest teatrem, aktorami ludzie”.

– Musi pani obiecać, że się pobierzemy. W przeciwnym wypadku ze złamanym sercem wrócę na pole bitwy. Bez pani nie chcę żyć.

– Jack, wojna się skończyła – odparła Beth konspiracyjnym szeptem.



– Liczy się intencja – wymamrotał. Beth zasłoniła usta ręką, aby powstrzymać śmiech, lecz zdawała sobie sprawę, że w oczach innych wygląda jak niewinne dziewczę przerażone żarem uczuć zalotnika.

– Musisz odpowiedzieć – syknął niemal bezgłośnie.

– Panie poruczniku, jestem zaszczyciona. – Westchnęła dramatycznie. – Jakże mogłabym odmówić panu swej ręki.

Jack wpił się ustami w dłoń okrytą rękawiczką. Nagle wstał i ucałował czoło Beth.

– Lepiej w usta – mruknęła.

– Wtedy nie będziesz miała odwrotu. Decyduj. Całujemy się?

– W usta – ponagliła go. – Szybciej, bo stracimy widownię. Pocałował ją tak namiętnie, że oszołomiona zapomniała o tym, iż to tylko przedstawienie dla zgromadzonego towarzystwa.

Niespełna godzinę później Jack wsiadł z bratem do ozdobionego herbem powozu i opadł na miękką kanapę ze skórzaną tapicerką. Wspaniały wehikuł służy dwu młodym lekkoduchom, którzy niczym sobie nie zasłużyli na takie luksusy, pomyślał, ale stryj, kuzyn oraz inni użytkownicy tego powozu też niewiele czynili dla dobra ludzkości. Dotknął palcem błyszczącej lampy przytwierdzonej do ściany pojazdu

I przypomniał sobie uwagi Beth na temat ludzi szlachetnie urodzonych.

– Myślisz, że przywykniemy do zbytku?

– Naturalnie. Przyznam szczerze, że coraz bardziej mi się podoba takie życie. Będziesz musiał sporo się natrudzić, żeby

odzyskać swoje wspaniałości – odparł Colin z dumną miną wielmożnego pana, którą przybrał specjalnie na dzisiejszy dzień.

– Dziękuję, że przyszedłeś dzisiaj na bal, żeby mi pomóc – odparł z uśmiechem Jack. – Znakomicie się spisałeś. Ja bym tak nie potrafił. – Nagle spoważniał. – Colin, może jednak chciałbyś zostać hrabią? Nie wiem, czy uda się to przeprowadzić...

– Na miłość boską! Nigdy! Wystarczył mi dzisiejszy wieczór. Serdeczne dzięki. Miałem ostatnio senne koszmary. Śniło mi się, że na twoje życzenie muszę ciągnąć tę maskaradę całymi tygodniami, czekając, aż znajdziesz odpowiednią kandydatkę na żonę. – Zdjął rękawiczki i rzucił je na siedzenie. – Wygląda na to, że zostałeś już usidlony, więc dość udawania. Jestem wolny, a ty się męcz.

– Nie tak szybko – odparł Jack. – Moje zaręczyny to mistyfikacja. – Opowiedział zdumionemu Colinowi, co wymyśliła Beth, i dodał: – Ona nie ma pojęcia, że jestem dziedzicem tytułu i majątku. Zarzeka się, że nie wyjdzie za lorda. Szczerze mówiąc, w ogóle nie chce męża. Potrzebuję czasu, żeby ją przekonać, i dopnę swego, jeśli zechcesz mi pomóc, nadal grając rolę earla.

– Do diabła! Co ty gadasz? Chyba oszalałeś! Po co masz ukrywać przed nią, kim jesteś? Na pewno cię przyjmie.

– Zrozum, wystąpiłem z oświadczynami, ale natychmiast dostałem kosza. Beth postawiła sprawę jasno – tłumaczył Jack, relacjonując ich rozmowę o małżeństwie. – Chce zostać starą panną, ale nie ma mowy, żeby przy tym wytrwała. Muszę ją tylko w sobie rozkochać.

– Wiesz co, stary? Powinienem chyba zamienić się z tobą i zostać earlem. Taki głupek jak ty nie podoła obowiązkom, które wiążą się z tytułem i zarządzaniem posiadłością.

Jack puścił tę uwagę mimo uszu i poklepał kolano brata.

– Nie wierzę własnemu szczęściu. Ledwie zaczęliśmy bywać, od razu spotkałem Beth. To był nasz pierwszy wieczór w wielkim świecie.

– Zgoda, mogę nadal udawać jaśnie pana, ale nie zamierzam tego robić w nieskończoność. Pamiętaj, że obiecałem uwolnić cię od tego brzemienia tylko na pewien czas, żebyś mógł znaleźć kandydatkę na żonę, której będzie zależeć na tobie, a nie na tytule i bogactwach. Słusznie obawiałeś się interesownych kobiet. Ambitne mamuśki nie dawały mi spokoju, a rozkoszna Eufemia pilnowała mnie jak oka w głowie. Ta dziewczyna to bezwstydną kokietka.

– Nie zauważyłem, żebyś od niej uciekał, stary draniu. Wydawałeś się nią mocno zaabsorbowany. – Jack kpiąco uniósł brwi, a Colin westchnął i wzruszył ramionami.

– Jej intencje nie pozostawiają cienia wątpliwości. – Spochmurniał nagle, lecz wkrótce znowu poweselał. – Wygląda na to, że jest warta grzechu. Postanowiłem kontynuować tę znajomość.

– I ta odkrywczą myśl dopiero teraz przyszła ci do głowy? Tylko nie posuwaj się za daleko – ostrzegł Jack. – Jeśli mój plan się powiedzie, Eufemia będzie naszą kuzynką.

– Natychmiast zacznij knuć przeciwko Beth, gdy odkryje nasze małe oszustwo. Chętnie bym jej wszystko opowiedział, żeby zobaczyć, jaką zrobi minę.

– Dałeś słowo. – Jack zmarszczył brwi. – Masz udawać earla, dopóki imię i nazwisko dziedzica tytułu nie zostanie ogłoszone w gazetach, co nastąpi za sześć tygodni. Do tego czasu wszystko się ułoży, a Beth będzie moja.

– Dobrze, dobrze. Jeśli wytrwam, dasz mi w nagrodę domek myśliwski w Szkocji, a także – dodał, śmiało grożąc bratu palcem – pistolety po stryju Martinie.

– Załatwione, ale trzymaj język za zębami, póki nie zdobędę Beth.

– Szybko się zdecydowałeś – odparł trochę zaniepokojony Colin. – Wypatrzyłeś ją, ledwie weszliśmy do sali. Prawie nie rozmawiałeś z innymi pannami. Rzadko się zdarza od razu trafić w dziesiątkę.

– Chyba że ma się dobre oko – odparł Jack – A jak znajdujesz swoją wybranekę?

Colin tylko machnął ręką i nadal droczył się z bratem.

– Co ty widzisz w tej Beth? Zauważyłeś, że brunetki wyszły z mody? Teraz wszyscy uganiają się za blondynkami.

W tym sezonie Eufemia uosabia idealny typ urody, – Nie wybrałem Bethany jedynie dla jej wyglądu, choć mnie wydaje się śliczna. Przede wszystkim jest dzielna i roztropna. I lojalna.

Zaryzykuję twierdzenie, że to doskonałość w każdym calu. Ma zadatki na wspaniałą hrabinę. No, i ma głowę na karku.

– Ładna główka, muszę przyznać, karczek również niczego sobie – wtrącił Colin. – Moim zdaniem powinieneś się rozejrzeć. To nie zabawa, lecz decyzja na całe życie.

– Ona jest tą właściwą – upierał się Jack. Ledwie stanął na progu sali balowej, parł naprzód, kierowany jedną myślą i jednym pragnieniem. Wiedział, że Colinowi trudno będzie to zrozumieć. Sam nie był w stanie tego pojąć. Kiedy ujrzął

Bethany Goodson, natychmiast stało się dla niego jasne, że wybór został dokonany. To naprawdę strzał w dziesiątkę.

– Jak chcesz, tylko nie waż mi się paplać o wielkiej miłości – ostrzegł Colin. – Obaj wiemy, że to bzdury.

– Owszem, ale głębokie uczucie może przyjść później i wierzę, że tak będzie. Bethany bardzo mi się podoba. – Nie śmiał na razie wyznać Colinowi, jak bardzo mu na niej zależy. Sam bał się o tym myśleć, pragnął jednak uspokoić brata, który chcąc nie chcąc, był wplątany w tę sprawę. – Gdybyśmy nie znali się wcześniej, z pewnością byłbym ostrożniejszy, lecz obaj pamiętamy ją z dzieciństwa, a to dobra rekomendacja. – Po chwili wahania zadał kolejne pytanie, chociaż zrobił to niechętnie. – Masz jej coś do zarzucenia? Dostrzegasz wady?

Colin wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Nic konkretnego nie przychodzi mi do głowy. Szkoda tylko, że nie pozwalasz mi pobaraszkować z jej kuzynką.

Jack parsknął śmiechem. Teraz mógł swobodnie rozmawiać o swojej wybrance.

– Beth pomoże mi przywrócić majątek do dawnej świetności. Zobaczysz, że da sobie z tym radę. Jest pełna zapału. Potrafi wczuwać się w potrzeby innych ludzi. Cechuje ją duży idealizm, ale to kolejna zaleta. Różni się bardzo od pań ze swojej sfery. Ma czułe serce.

– Sama słodycz! I dobrze całuje. Sam widziałem.

– Bezinteresowna serdeczność Beth przesądziła o moim wyborze,

– A pocałunek cię w nim utwierdził. Nie zapominaj o pocałunku – odparł Colin.

– Wziąłem go pod uwagę. Miło, gdy żona potrafi okazać uczucie. To się liczy. A poza tym – jaką będzie matką! – Jack odkrył, że z radością myśli o założeniu rodziny. Wyobrażał sobie zaokrągloną postać Beth. Oczyma duszy widział, jak żona karmi dziecko, jak oboje bawią się z maleństwem na trawniku. – Tak. Chciałbym, żeby matka moich dzieci kochała je czule. Nasi rodzice ledwie tolerowali swoje potomstwo, a ciotka Florence udawała, że nie istniejemy. Przypominasz sobie, żeby w dzieciństwie ktoś nas przytulił, kiedy byliśmy wystraszeni? Wieczorem nikomu nie chciało się okryć nas kołderką i pocałować na dobranoc. Chcę, żeby w mojej rodzinie było inaczej.

– Przez wzgląd na swoje pociechy czy na siebie? – zapytał roześmiany Colin. – Pamiętam, że gdy było marnie, tuliliśmy się nawzajem. Co do kołderki, nikt by nie dał rady nas opatulić, bo po dniu

wypełnionym zabawą i psotami zasypialiśmy byle gdzie, nie zawsze w łóżku. Szczerze mówiąc, chwałę sobie nasze dzieciństwo. Co narozrabiałem, to moje. Nawet gdybym mógł, niczego bym nie zmienił.

– Wybaczam ci kłamstwo, bo wiem, że jak ognia unikasz czułości – odparł pobłaźliwie Jack. – Chciałbym cię tylko ostrzec, że moim zdaniem kuzynka Eufemia nie jest zdolna do gwałtownych porywów serca.

– Ma za to inne... zalety – odrzekł Colin, kreśląc w powietrzu faliste linie. – Śmiem twierdzić, że na swój sposób jest uczuciowa. Nie sądzę tylko, że straciłem dla niej głowę. Wiem, że zostawi mnie, gdy z księcia stanę się żabą, więc nie odwlekajmy tej przemiany dłużej niż to konieczne, zgoda?

Jack był poważnie zaniepokojony. Znał dobrze Colina i wiedział, że mimo pozorów cynizmu młodszy brat nie jest bardziej od innych ludzi odporny na strzały Amora. Byłoby fatalnie, gdyby zakochał się w interesownej Eufemii.

Jackowi wystarczyło kilka minut rozmowy, żeby ją przejrzeć. Kto nie dał się zwieść anielskiej powierzchowności, natychmiast dostrzegał w pięknych błękitnych oczach błysk chciwości. Nie ukrywała, że poluje na Colina. Z dwóch braci natychmiast wybrała rzekomego earla.

– Mam nadzieję, że będziesz się miał na baczności – powiedział Jack.

– Jak zwykle – odparł Colin.

Nigdy tego nie robisz, pomyślał Jack i westchnął ciężko. Colin zdawał sobie sprawę, do czego zmierza śliczna Eufemia, a mimo to nie odstępował jej przez cały wieczór. Zapewne nie myślał o ślubie; marzył mu się raczej namiętny romans, co nie wchodziło w grę, skoro panna była spokrewniona z Beth. I bardzo dobrze, bo mogło dojść do skandalu, gdyby rzecz wyszła na jaw. Colinowi groziło jednak poważne niebezpieczeństwo. Jeśli Eufemia zawróci mu w głowie, a potem rzuci biedaka, ponieważ jest młodszym bratem, po takim ciosie trudno mu będzie się pozbierać.

– Pamiętaj, o co jej chodzi. W końcu prawda wyjdzie na jaw, a ty będziesz zdruzgotany, jeśli za bardzo przywiążesz się do tej dziewczyny – ostrzegł Jack. – Piękna Eufemia oszaleje ze złości.

Ciekawe, jak zareaguje Bethany, odezwał się głos sumienia, ale Jack zlekceważył ostrzeżenie. Gdy przyjdzie czas na wyjaśnienia, zakochana Beth go zrozumie. Na pewno.

A może nie?



## ROZDZIAŁ DRUGI

Jack wiedział, że na razie nikt nie zakwestionuje tożsamości nowego earla Whitworth. Zyskał kilka tygodni względnego spokoju, póki wiadomość nie trafi do gazet. Zanim zostanie ogłoszona publicznie, prawnicy i specjaliści od genealogii muszą sprawdzić metryki oraz zapisy dotyczące stopnia pokrewieństwa. W rodzinie Keithów dokumenty przechowywano w hrabstwie York, rzecz więc wymagała zachodu.

Żałował teraz, że wymyślił tę bezsensowną maskaradę, ale nie miał wyjścia, musiał ją kontynuować, aż przekona Beth, że różni się od innych mężczyzn, którym dotąd odmawiała ręki.

On i Colin byli na wojnie prawie rok. Nikt z londyńskich znajomych nie wiedział, po ile mają lat. Odpowiednio ubrani wyglądali na bliźniaków. W dzieciństwie chętnie płatali figle, wykorzystując rodzinne podobieństwo.

Razem kończyli szkoły, potem wstąpili do wojska. Przez całe życie prawie się nie rozstawali. Osieroceni w wieku czterech i pięciu lat wyjechali z Yorku do Cotswolds, by zamieszkać u stryja, którego opieka pozostawiała wiele do życzenia. Jack podejrzewał, że rodziny w ogóle nie obchodziło, który z chłopców jest starszy. Nie zaprzętało sobie tym głowy. Był przecież syn, prawowity dziedzic.

Ciotka Florence umarła przed laty. Kuzyn Hubert, któremu z mocy prawa należał się tytuł, odszedł nagle, rażony atakiem apopleksji. Zaledwie o miesiąc przeżył ojca zmarłego na zapalenie

opon mózgowych. W takich okolicznościach Jack odziedziczył majątek i tytuł earla.

Wiadomość przekazał mu pułkownik Doherty, który przybył do Abreville pod Paryżem, by objąć komendę. Wojna dobiegła końca, a żołnierskie powinności w okupowanym kraju okazały się wyjątkowo nudne, toteż bracia chętnie wrócili do Anglii.

Majątek od miesięcy był opuszczony i zaniedbany. Prawnicy twierdzili, że dwór i posiadłość Whitfield w Cotswolds to obraz nędzy i rozpacz. Tylko kamienica w Londynie, w której odeszli kolejno wuj Martin i kuzyn Hubert, nadawała się do zamieszkania. Dziękować Bogu, kapitał pozostał nienaruszony, lecz poprzedni earlowie ani myśleli użyć tych pieniędzy na przeprowadzenie niezbędnych remontów swych siedzib.

Adwokaci wiedzieli, rzecz jasna, o starszeństwie Jacka, który zakazał im to rozgłaszać. Gdy wraz z Colinem zdecydowali się na mistyfikację, nie było nikogo, kto mógłby pokrzyżować im szyki. Po namyśle Jack postanowił kontynuować grę, aż zdobędzie serce Bethany i naprawdę się z nią zaręczy.

– Nie ma innego wyjścia – mruknął do siebie. – Jest mi przeznaczona.

– Dziwi mnie, że tak się przy niej upierasz. Jest urocza, ale kobiet nie brakuje – oznajmił z wyższością Colin. – Dawniej trzymałeś się na dystans, rzucałeś przynętę i czekałeś spokojnie, aż wybranka sama do ciebie przyjdzie.

Sprawiał wrażenie, jakbyś nie dbał o to, czy da się złapać, czy nie.

Jack przyznał mu rację. Opisana taktyka zwykle przynosiła efekty.

– Tym razem sprawa jest poważna, braciszku. Muszę zdobyć Beth, nie mogę więc liczyć na jej kaprys albo zmianę nastroju.

Jack uświadomił sobie, że do tej pory to Colin zdobywał kobiety i starał się je do siebie przywiązać, a gdy wysiłki spełzły na niczym, wypijał morze brandy i szukał duchowego wsparcia, żeby przetrwać miłosny zawód. Teraz na horyzoncie pojawiła się czarująca Eufemia z wypiętą piersią, która falowała rozkosznie pod zachwyconym spojrzeniem kochliwego Colina. Warto by raz jeszcze ostrzec biedaka przed sprytną kokietką.

– Mam nadzieję, stary, że tym razem nie dasz się wystrychnąć na dudka. Twoja blondyneczka może ci nieźle zależeć za skórę.

– Każ się wypchać, Jack. – Śmiech Colina wydawał się przesadnie chełpliwy. – A twoja ślicznotka z miejsca wzięła cię pod pantofel, przestań więc mnie pouczać, bo wpadłeś jak śliwka w kompot.

Beth przez dwie doby słuchała nieprzerwanie monologu Eufemii wynoszącej pod niebiosa zalety lorda Whitworth. Sprawiała wrażenie zakochanej do szaleństwa, lecz obie wiedziały, o co naprawdę chodzi.

– Głowa mi pęka od twojej paplaniny – westchnęła zniecierpliwiona, wiążąc pod biustem ozdobne wstęgi mocno

wydekoltowanej sukni. – Bardzo dziś zimno. Jestem pewna, że w tych fatałaszkiach nabawimy się zapalenia płuc.

Eufemia wyzywająco spojrzała na jej odbicie w lustrze i obciągnęła karczek, żeby powiększyć dekolt.

– Szczęściara! Nie musisz wystawiać na pokaz swoich wdzięków, bo już się zaręczyłaś.

– Mówiłam ci, że to zasłona dymna. Nie mogę wyjść za Jacka. Znasz główną przyczynę, a poza tym on na równi ze mną obawia się małżeństwa i zaręczyny są na niby. Zresztą ojciec nie dał na nie zgody. Ani słowem nie wspomniał o scenie, którą odegraliśmy na tarasie u Randolphów. Jack chciał mu wczoraj złożyć wizytę, ale nie został przyjęty.

Beth była tym poważnie zaniepokojona. Wkrótce rozniesie się wieść, że baron Goodson nie uważa Jacka Keitha za odpowiedniego kandydata na zięcia. Jaki konkurent zniósłby spokojnie podobne upokorzenie? Beth łudziła się jednak, że Jack okaże zdrowy rozsądek i nie będzie się domagał rozwiązania paktu o wzajemnej pomocy.

– Mam nadzieję, że z tego powodu nie zamierzasz rezygnować z dzisiejszego przyjęcia – zaniepokoiła się Eufemia i dodała kpiąco: – Whitworth oczekuje dzisiaj olśniewającej defilady i nie mogę go zawieść. – Wyprężyła się i uniosła ramię, parodiując żołnierski salut. Wstrzymała oddech, aby podkreślić piękny biust.

Uśmiechnięta Beth pomyślała, że Eufemia nie ma się czym martwić. Suknia z połyskliwego jedwabiu o barwie kości słoniowej podkreślała znakomitą figurę, a wśród jasnych loków jaśniały sztuczne

perły. W tym stroju mogłaby pozować do wizerunku greckiej bogini. Starannie zaplanowała oblężenie, gdyby więc Colin nie padł przed nią na kolana, mogłaby o to winić jedynie złośliwy los.

– Powinnaś wypchać stanik chusteczkami. Co ci szkodzi?

– oznajmiła Eufemia, obrzucając taksującym spojrzeniem skromne okrągłości Beth.

Zlustrowała twarz kuzynki, mrużąc oczy, ale zaraz przypomniała sobie, że to powoduje zmarszczki. Kryła się z tym, że jest dalekowidzem. Niestety, jej myśl nie sięgała tak daleko jak wzrok.

– Powinnaś uróżować policzki – doradziła.

– Bładość jest modna – odcięła się ubawiona Beth. Była z natury skromna, ale zupełnie zadowolona ze swego wyglądu. Miała na sobie niebieską suknię z miękkiego krepdeszynu ozdobioną ciemniejszymi wstążkami. Węższe tasiemki tej samej barwy wplotła we włosy. Całości dopełniał delikatny naszyjnik oraz długie kolczyki z szafirami. W przeciwieństwie do Eufemii trudno ją było nazwać piękną, lecz wydawała się całkiem ładna.

Poszczypała policzki, by wywołać rumieńce, i przygryzła wargi, żeby poczerwieniały.

– Jestem gotowa.

Eufemia z politowaniem spojrzała na nią oczyma dyskretnie podkreślonymi czarnym ołówkiem.

– Idę o zakład, że w ogóle nie próbowałaś się upiększyć – oznajmiła, wkładając rękawiczki.

– A ty wręcz przeciwnie – odparowała Beth, biorąc jedwabny woreczek i wychodząc za nią do szerokiego korytarza.

– Lord Harnell zapowiedział, że będzie dziś u księcia. Obawiasz się awantury z powodu zaręczyn? – zapytała Eufemia.

– Mam nadzieję, że ten cymbał natychmiast zacznie się naprzykrzać innej pannie – odparła Beth. – Na to Uczę.

Dobrze pamiętała, jak zareagował Jack, gdy usłyszał, kogo ojciec wybrał jej na męża. Miała nadzieję, że spotka Keithów na przyjęciu u księcia Cranstonbury. Chciała przeprosić Jacka za afront uczyniony przez jej ojca.

Poza tym czułaby się pewniej, gdyby stał u jej boku, kiedy nastąpi konfrontacja z Harnellem. A jeśli mimo obecności Jacka lub właśnie z jej powodu dojdzie do nieprzyjemnej sceny?

– Eufemio, chyba nie sądzisz, że baron Haraell zachowa się niestosownie i zrobi awanturę.

– Radzę ci uważać, żebyś nie została z nim sam na sam. Jest przystojny, ale uchodzi za rozpustnika. Kilka razy miałam ochotę go spoliczkować.

Beth wzięła ją pod rękę, gdy szły do holu, gdzie miały czekać na państwa Goodson.

– Obraził cię, kuzynko? Co zrobił?

– Gapił się – odparła półgłosem Eufemia.

– Nic dziwnego. Sama jesteś sobie winna. – Beth dała jej szturchańca i zamilkła, bo na dole stali już rodzice.

Matka była piękna jak zawsze. Wyglądała ślicznie, ale twarz miała nieprzeniknioną i pozbawioną wyrazu. Nie krytykowała Beth i nigdy jej nie pouczała. W tej kwestii zdała się na bony, a potem na guwernantki. Teraz wyřęcał ją mąż, który bardzo poważnie traktował to zadanie. Był troskliwy, a zarazem uparty i nieustępliwy.

Baron Goodson cenił zewnętrzne oznaki prestiżu i nie szczędził pochwał swym paniom, jeśli stawały na wysokości zadania. Wierzył ponadto, że każde jego słowo jest dla rodziny prawem i nakazem. Zazwyczaj tak właśnie było. Wyjątkiem potwierdzającym regułę stało się postanowienie Beth, która uparcie zniechęcała kandydatów na męża.

Baron uznał za potrzebne udzielić jej teraz stosownego napomnienia.

– Bethany, jeśli ponownie zrobisz z siebie widowisko, na pół roku zakazę ci wszelkich rozrywek. Do lata będziesz siedzieć w domu. Zrozumiałaś?

– Tak, ojczy – odparła. – Za karę wyślesz mnie na wieś, skazując na potworną nudę.

Oby dotrzymał słowa, modliła się w duchu, przybierając bolesciwą minę. Powrót na prowincję stał się jej najgorętszym pragnieniem. Tam była potrzebna.

Wystarczyło jednak spojrzeć na Eufemię, aby poznać, że naprawdę jest przerażona. Najchętniej w ogóle nie opuszczałaby Londynu. Beth ogarnięta poczuciem winy uświadomiła sobie, że z powodu jej fanaberii biedna kuzynka nie upoluje earla.

– Otóż to! – przytaknął baron Goodson. – Wyprawię cię stąd w pół minuty! – Energicznie kiwnął głową. – Chodźmy już. Spóźnienia są teraz w dobrym tonie, ale ja tego nie pochwalam. Zapamiętajcie, dziewczęta, że punktualność to fundamentalna zaleta. – Odwrócił się i skinął na Stoksa, który otworzył drzwi jaśnie państwu.

Eufemia i Bethany wymieniły znaczące spojrzenia. Lady Goodson udała, że tego nie widzi.

Jack zastanawiał się przez całe popołudnie, jak zyskać przychylność ojca Beth, nie ujawniając swojej tożsamości. Starania o rękę i serce uroczej panny Goodson zostałyby udaremnione, gdyby baron zabronił im wszelkich spotkań.

– Widzisz ją? – dopytywał się Colin, spoglądając ponad głowami dumnie przybyłych gości.

– Chwalebna niecierpliwość! Nie możemy się doczekać, co? – kpił dobrodusznie Jack. Niepostrzeżenie wygładził kłapy i obciągnął mundur. Dziś włożył go po raz ostatni. Miał nadzieję, że gdy powtórnie zjawi się w towarzystwie, nikt już nie będzie miał wątpliwości, który z braci Keithów odziedziczył posiadłości i tytuł. Zamiast ewidentnego kłamstwa wolał półprawdy i niedomówienia. Resztę zostawił domyślności plotkarzy.

Obaj z Colinem bardzo uważali, by przedstawiając się, podawać jedynie nazwisko rodowe. Obaj czuli się zakłopotani, gdy nazywano ich lordami, co zresztą pomimo ich mistyfikacji nie było nadużyciem. Według prawa na razie starszy z braci dziedziczył prawo do tytułu.



– Tam! – zawołał Colin. – Widzę je! Szybko! – Bez namysłu ruszył w przeciwny kąt salonu. Jack poszedł za nim, choć wolałby najpierw powłóczyć się wśród gości, żeby usłyszeć, co się mówi o jego najnowszym podboju. Zawsze starał się wybadać, jakie są zamiary przeciwnika, i cenił dobry zwiad. Colin wolał frontalny atak. Jack nie potrafił zliczyć, jak często wyciągał go z tarapatów. Dziś także był na to przygotowany.

– Dobry wieczór, poruczniku – przywitała się Beth, gdy podszedł. Jej twarz przybrała wyraz czujności. Lady Goodson stała wprawdzie dwa jardy od nich, ale była odwrócona plecami. Skąd zatem ten niepokój?

– Zaczynamy wszystko od początku? Zdawało mi się, że darowaliśmy sobie towarzyskie konwenanse. – Ujął jej dłoń i cmoknął głośno rękawiczkę, choć dobry ton nakazywał nie dotykać jej ustami.

– Jack, zachowuj się przyzwoicie! – szepnęła, wrywając rękę.

– Co się dzieje? Zmiana planów?

– Nie, ale ojciec jest na mnie zły – tłumaczyła z wymuszonym uśmiechem dla zmylenia gapiów. – Zagroził, że wyprawi mnie z Londynu na prowincję. Byłabym temu bardzo rada. Istnieje jednak spore niebezpieczeństwo, że zaczniesz teraz energiczniej popierać Harnella. Właśnie z nim rozmawia.

– Ruchem głowy wskazała obu dżentelmenów.

– Widzę, że trzeba się go pozbyć raz na zawsze. Zostaw to mnie.

– Nie rób niczego pochopnie – ostrzegła, dotykając jego ramienia, choć dla młodej panny był to gest nazbyt śmiały.

– Bardzo proszę.

– Nie chcesz pojedynku? Obiecuję fachowo wypatroszyć tego głupka. Może nawet zostawię go przy życiu, choć nie będzie mi za to wdzięczny, gdy się z nim uporam.

– Jack! Dość!

– Dziś nie zaprzatajmy sobie tym głowy, dobrze? Zatańczmy, serce moje.

– Wybacz, że zwracam ci uwagę na taki drobiazg, najdroższy, ale orkiestra przestała grać.

– W takim razie pospieszmy do ogrodu, gdzie słodki ton twego głosu złagodzi dzikość mego serca. On jest dla mych uszu najpiękniejszą muzyką. Przysięgam, że zawsze będę tańczyć, jak mi zagrasz.

– Trzymaj się ode mnie z daleka. Zaraz cię stąd wyproszą! – syknęła. – Jesteś niepoprawny.

– Przy tobie będę uosobieniem ideału. Masz na to moje słowo.

– Jeszcze chwila, a w ogóle nie zechcą cię tu przyjmować.

– Tak, ale chyba dostaniemy kolację. – Nie czekając na zgodę, wziął ją za rękę i pociągnął do pokoju, gdzie spodziewał się znaleźć zimny bufet. Po drodze spostrzegł Colina i dał znak, żeby poszedł za nim. Jak przewidywał, ochocza Eufemia natychmiast się przyłączyła.

Mniejsza z tym. Najważniejsze, żeby odciągnąć Beth od czujnych rodziców i na serio zacząć konkury. Po godzinie owych starań należy dopaść na osobności jej ojca i wkraść się sprytnie w jego łaski.

Byle tylko nie sprawdziła się przepowiednia Beth, że z powodu fatalnych manier wyrzucą go stąd na zbity pysk, nim osiągnie cel. Niebezpieczeństwo stało się realne, bo z trudem trzymał ręce przy sobie. Beth była nadzwyczaj pociągająca.

Usiedli we czwórkę przy stoliku nakrytym białym obrusem. Eufemia i Colin zapomnieli o bożym świecie, robiąc słodkie oczy i paplając bzdury, a Jack próbował rozproszyć obawy Beth. Po dwu szklankach ponczu i porcji wybornych smakołyków uspokoiła się na tyle, by wrócić do rozmowy o zaręczynach.

– Ojciec z pewnością nie ogłosi ich na piśmie – uprzedziła przyciszonym głosem, żeby nikt nie podsłuchał rozmowy. – Uznał wydarzenie za niebyłe. Co zrobimy, jeśli nie zaakceptuje twoich oświadczeń?

Nadarzyła się idealna sposobność, żeby odejść na chwilę  
I wziąć sprawy w swoje ręce.

– Poszukam go i spróbuję przekonać.

Beth ze zdumienia otworzyła usta, a potem spochmurniała.

– Jack, nie wydaje mi się...

– Trzymaj się tych dwojga. Zaraz to załatwię – przerwał, wstając.

– Orkiestra stroi instrumenty, zachowaj więc dla mnie taniec. A najlepiej trzy. Niech wszyscy nas zobaczą.

Opuścił jadalnię i wrócił do sali balowej. Na progu ktoś mocno chwycił go za ramię. Odwrócił się i ujrzał nachmurzonego Harnella, który powiedział rozkazującym tonem:

– Wychodzimy, Keith.

– Puść mnie albo połamię ci palce – odparł uprzejmie Jack, patrząc mu w oczy. Harnell posłuchał.

Jack bez pośpiechu strzepnął rękaw i ruszył ku drzwiom prowadzącym do ogrodu. Wieczór był chłodny. Poza nimi tylko dwie pary, zajęte sobą i niepomne na innych, spacerowały w oddali.

Jack stanął z Harnellem twarzą w twarz.

– Mów pierwszy.

– Odczep się od Bethany Goodson – burknął tamten.

– Dla twego widzimisię mam zostawić narzeczoną? Mówisz jak głupek, ale trudno się dziwić. Zawsze brakowało ci piątej klepki, więc...

Zanim pięść Harnella dosięgła celu, Jack zablokował ją, skrzył gwałtownie i usłyszał głośny chrzęst kości. Uśmiechnął się mściwie, gdy wróg krzyknął z bólu i zacisnął palce na kciuku.

– Przyjmij dobrą radę, stary. Kciuk trzymaj na zewnątrz. Jest tylko zwichnięty, ale następnym razem złamię ci go, jeśli nie będziesz uważać.

– Zginiesz z mojej ręki, Keith – wycedził Harnell przez zaciśnięte zęby.

– Marne szanse, chyba że popracujesz nad refleksem. –

Jack nagle spowaźniał i dodał groźnie: – Przestań się starać o pannę Goodson i będziemy kwita. Jeśli nie posłuchasz, czeka cię nauczka poważniejsza niż wybity palec. A teraz zejdz mi z oczu, bo tracę cierpliwość.

Harnell miał krople potu na czole, oddychał ciężko i mrużył oczy. Milczał i mogło się wydawać, że w końcu zmądrzał, ale nie odszedł.

– Rozmowa skończona, znikaj – polecił Jack. Odczekał, aż kipiący złością Harnell wmiesza się w tłum gości, i wrócił do sali balowej. Jego wroga już tam nie było.

I dobrze. Widać naprawdę poszedł po rozum do głowy.

Jack przez chwilę szukał wzrokiem Goodsona. Spostrzegł go w drzwiach sąsiedniego pokoju, gdzie rozstawiono stoliki do gry.

– Milordzie, czy można na słówko? – zapytał, podchodząc bliżej.

– Nie mam ci nic do powiedzenia, Keith. – Baron poszedł dalej.

– Whitworth jest poważnie zainteresowany pańską córką – oznajmił Jack. To był strzał w dziesiątkę. Baron zatrzymał się natychmiast i popatrzył na niego z jawnym zainteresowaniem.

– Mówi pan o earlu? – zagadnął przyjaźniejszym tonem, a potem dodał podejrzliwie: – W takim razie dlaczego...

– Możemy porozmawiać na osobności, milordzie? – spytał uprzejmie Jack.

Harnell to cenna zdobycz godna skarbu, jakim była ręka Bethany, lecz marzeniem każdego ojca jest konkurent stojący wyżej w arystokratycznej hierarchii. Jack czuł się dziwnie jako upragniony przez ambitnych rodziców arystokrata. Śmieszyła go ta sytuacja. Nie mieściło mu się w głowie, że można przywiązywać tak dużą wagę do pozycji społecznej kandydata na męża, ale był świadomy, że dla ludzi

pokroju Goodsona to najważniejsza gwarancja przyszłego szczęścia córki.

Jack wiedział, jakie korzyści ma posiadanie tytułu, ale nie czuł się jeszcze gotowy do ujawnienia prawdy. Bethany nie była na to przygotowana. Żywiła nieufność wobec utytułowanych wielmożów. Biedactwo, utwierdziła się w przekonaniu, że im znaczniejsze dostojenstwo, tym silniejszy opór wobec jej filantropijnych planów. Jednak nie mogła poślubić człowieka bez środków do życia, a za takiego nadal uważała Jacka.

Przyznał w duchu, że nie zasługuje na Bethany, ale i tak postanowił ją zdobyć. O tym myślał, idąc za Goodsonem. Weszli do saloniku znajdującego się obok cieplarni. Baron natychmiast sięgnął po cygaro i wziął się do obcinania jego końca. Jack czekał cierpliwie, aż się z tym upora, zapali i wypuści pierwszy kłęb dymu.

– Wspomniał pan, że earl interesuje się moją córką, prawda? – usłyszał wreszcie.

– To więcej niż pewne.

Baron przechylił głowę na bok i wydmuchał błękitny dym.

– A zatem czemu to pan całował ją i prosił o rękę na tarasie domu Randolphów? Proszę się również nie łudzić, że umknęło mojej uwagi natrętne zainteresowanie okazywane przez pańskiego brata mej siostrzenicy.

Jack miał na to odpowiedź.

– Wiadomo, milordzie, że pańska córka odrzuca wszystkich dżentelmenów starających się o jej rękę. Jak można lepiej poznać

pannę Goodson, skoro natychmiast człowieka zniechęca? Uradziliśmy z Colinem, że jeśli spróbuję się do niej zbliżyć, a on zacznie adorować Eufemię, w naturalny sposób będziemy trzymać się razem, tworząc czwórkę przyjaciół, co umożliwi nam lepsze poznanie obu dam. Baron zmarszczył czoło, rozważając jego słowa.

– Chce pan przez to powiedzieć, że pańską wybranką jest Eufemia?

Jack przybrał minę beznadziejnie zakochanego idioty.

– Uważam ją za wyjątkową istotę, baronie.

– No, cóż, mogła trafić gorzej. Jeśli na pana przeniesie swoje uczucia, co może jej pan zaoferować?

Rany boskie! Jack czuł, że pogrąża się na dobre.

– Milordzie, nie mówimy teraz o zamążpójściu panny Eufemii. Zostawmy tę sprawę na później. Być może nic z tego nie będzie. – Jack wzdrygnął się na samą myśl o poślubieniu urodziwej kokietki. Ja się na to nie piszę, pomyślał.

Baron znów spojrział na niego z ukosa, posażł cygaro i kiwnął głową.

– Rozumiem pana, ale nie pozwolę nikomu kręcić się koło siostrzenicy, jeśli uznam, że nie rokuje nadziei na przyszłość. Niech pan pozbedzie się złudzeń.

Jack westchnął.

– Wyłacono mi zaległy żołąd, wkrótce otrzymam należną odprawę, brat czerpie spore dochody z należnego earlowi majątku, którym chcemy wspólnie zarządzać.

– Przykładna zgoda, ale to oznacza, że każdy z braci osobno niewiele jest wart, prawda? Musicie się sporo nauczyć, żółtodzioby, ale mogę chyba pozwolić, żebyście przez jakiś czas asystowali moim pannom. Ciekawe, czy zdołacie je do siebie przekonać. – Umilkł na chwilę. – Mogą być pewne komplikacje. Harnell od dawna zanudza mnie prośbami o rękę Bethany. Obiecałem, że będę go popierać.

– Nie sędzę, baronie, żeby się panu naprzykrzał. Znam go dobrze i zapewniam, że zrezygnuje z pańskiej córki. Gdyby się upierał, sam z nim porozmawiam.

– Niech pan nie działa pochopnie. Co będzie, jeśli Whitworth zmieni zdanie i uzna, że Bethany się dla niego nie nadaje? Dziewczyna musi mieć w rezerwie odpowiedniego kandydata. Proszę mi wierzyć, odprawiła już większość konkurentów rokujących pewne nadzieje.

– W takim razie daję panu uroczyste słowo honoru, że jeśli panna Bethany przekona się do małżeństwa, ponad wszelką wątpliwość zostanie hrabiną.

Baron szeroko otworzył oczy.

– Jak pan może składać takie zapewnienia? Whitworth sam o sobie decyduje.

– Przemawiam w jego imieniu.

– Dlaczego on z tym do mnie nie przyszedł?

Jack nie przewidział, że rozmowa będzie taka trudna.

– Milordzie, wiem, co mówię. Raz jeszcze zapewniam uroczyście, że Whitworth ożeni się z panną Bethany, jeśli ona wyrazi



zgode na ślub. Idealnie do siebie pasują. Panna Goodson to zrozumie, gdy go lepiej pozna.

Baron pomachał ręką, w której trzymał cygaro.

– Pozna, pozna... Mam nadzieję, że nie mówi pan tego w znaczeniu biblijnym. „I poznał Adam żonę swą Ewę...”

– Uchowaj Boże! Nie, milordzie. Proszę wybaczyć niefortunny zwrot. Ja... Whitworth odnosi się do panny Bethany z najwyższym szacunkiem.

Goodson wydał dziwny odgłos, który można było uznać za śmiech.

– Żartowałem, żeby sprawdzić, co pan na to odpowie. – Spojrzał chytrze na Jacka. – Ostrzegam, mój chłopcze. Pamiętam was obu z czasów, gdy łobuzowaliście w całym hrabstwie. Nie ważcie się żartować z moich dziewcząt. Jestem doskonałym strzelcem.

– Jeśli pan sobie życzy, możemy spisać umowę. Whitworth podtrzyma ofertę, jeśli uzyska zgodę wybranki. Rzecz jest ustalona. – Jack wyciągnął rękę, żeby przypieczętować kontrakt. Baron ociągał się przez chwilę, ale w końcu podał dłoń.

– Doskonale. Każę przygotować dokumenty. Co z posagiem?

– Proszę samemu wyznaczyć kwotę. Nasz majątek nie jest zadłużony i przynosi spore dochody. Pańska córka będzie opływać w dostatki.

– Znakomicie. Ostrzegam, Keith, wystarczy najlżejsze podejrzenie, że pan i pański brat chcecie mnie oszukać, a każę sobie

podać wasze głowy na srebrnej tacy i żaden tytuł wam wtedy nie pomoże.

Jack odprowadził Goodsona do sali balowej, a potem odnalazł Bethany. Mógł teraz zalecać się do niej bez przeszkód. Szkoda tylko, że musiał użyć podstępny. Jeśli nawet baron uzna, że nie zasłużył na kulę, ukochana chętnie mu ją wpakuje.

Goodson łatwo da się ugłaskać, bo dla niego najważniejsze jest, żeby przyszedł zięć miał hrabiowski tytuł. Jeśli chodzi o Bethany, jedyna szansa na przebaczenie i zgodę to rozkochać ją w sobie, zanim prawda wyjdzie na jaw; rozkochać do tego stopnia, żeby machnęła ręką na tytuł i wzięła go z dobrodziejstwem inwentarza.

Niestety, dla osiągnięcia celu nadal musiał tolerować umizgi Colina do interesownej Eufemii. Ta zażyłość niewątpliwie doprowadzi do wielkiej katastrofy, ale kości zostały rzucone i nie można się cofnąć.

Jack obiecał sobie, że zgromadzi spory zapas brandy i spróbuje przygotować Colina na najgorsze.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Pretensje pojawiły się, ledwie zajęli miejsca w otwartym powozie i ruszyli do Hyde Parku. Colin siedział przy Beth, a Jack usadowił się obok Eufemii. Przygodny obserwator uznałby, że bracia Keithowie zamienili się wybrankami serca. Eufemia była oburzona, Beth także objawiała niezadowolenie. Czyżby ich wielbicieli cechowała niestałość w uczuciach?

– Rozmawiałem wczoraj z lordem Goodsonem – zaczął pogodnie Jack. – Jego zdaniem nasza czwórka powinna na razie pozostać grupą przyjaciół, zamiast dzielić się wyraźnie na dwie pary.

Eufemia spochmurniała, patrząc znacząco na Colina.

– Doskonale wiem, czemu sobie tego życzy. Chce wydać za ciebie Beth!

– O nie! Z pewnością chodzi mu o coś innego – zaprotestował Colin, spoglądając na nią z uwielbieniem. – Sądzę, że próbuje rozdzielić Jacka i pannę Bethany. – Odwrócił głowę i rzucił Beth przeproszające spojrzenie. – Lord Goodson nie był zachwycony, gdy nad barona przedłożyła pani żołnierza, prawda? Z pewnością łudzi się...

– Że wyda ją za hrabiego. Za ciebie – wtrąciła z uporem Eufemia, żeby zwrócić na siebie uwagę. Colin wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni.

– Spokojnie, nie upadaj na duchu. Przesiadzimy się z Jackiem, gdy tylko stangret zatrzyma powóz. Zadowolona?

Beth westchnęła, zniecierpliwiona pustą gadaniną całej trójki.

– Chyba usiądę na koźle. Ta układanka staje się dla mnie nazbyt zawiła.

Jack wybuchnął śmiechem, jakby uznał jej słowa za dobry żart.

– Dla mnie również, ale to był warunek, pod którym uzyskałem dla nas obu zgodę na widywanie się z wami. – Popatrzył znacząco na Eufemię i Colina, a potem zerknął na Beth.

Doszła do wniosku, że ciągnął tę grę przez wzgląd na brata oczarowanego jej kuzynką. Gdyby Beth się teraz wycofała, zaloty tamtych dwojga zostałyby natychmiast przerwane. Co gorsza, ona sama musiałaby znosić umizgi mężczyzn pokroju Artura Harnella.

– Wuj zignorował oświadczenia Jacka – przypomniała Eufemia. – To powinno wam dać do myślenia.

– Owszem, ale po wieczorze u lorda Randolpha mówi o nich cały Londyn – zapewnił Colin. – Zareczyny nie zostały ogłoszone czarno na białym, ale wszyscy o nich wiedzą.

– W takim razie dlaczego nadal mamy udawać? – dopytywała się Eufemia.

Bardzo dobre pytanie, uznała Beth. Z uśmiechem przechyliła głowę i popatrzyła na Jacka, spodziewając się usłyszeć od niego odpowiedź.

– Nie dramatyzujcie. Wystarczy, że na balach równo podzielimy między siebie tańce i wszędzie będziemy pojawiać się we czworo, a nie parami. W przeciwnym razie lord Goodson odmówi nam prawa do spotkań, zacznie tyranizować Bethany i sprzyjać Harnellowi.

– A Colinowi zabroni starać się o mnie, ubogą kuzynkę – wtrąciła Eufemia.

Wszyscy w milczeniu przyjęli do wiadomości słowa Jacka. Porozumienie zostało zawarte; uspokojeni cieszyli się przejażdżką.

W ciągu następnych dwóch tygodni Beth rzadko zgłaszała zastrzeżenia. Lord Colin okazał się uroczym kompanem. Miał wspaniałe poczucie humoru i stale droczył się z bratem, zmuszając do śmiechu całe towarzystwo. Jack był mądrzejszy i bardziej opanowany. Okazał się też nieoceniony, jeśli chodzi o pomysły na miłe spędzenie czasu.

Codziennie rano wyruszali na konne przejażdżki; najpierw stępa wzdłuż Rotten Row, jakby było lato i czas prezentowania najnowszych końskich nabytków; następnie galopem po opustoszałych trawnikach i wysadzanych drzewami alejkach. W cieplejszych porach roku tłok nie pozwalał na szybką jazdę, ale mały sezon dobiegał końca i eleganckie dzielnice pustoszały, bo życie towarzyskie dostarczało coraz mniej atrakcji.

Nieustanna obecność Eufemii i Colina ułatwiała Beth panowanie nad niebezpieczną skłonnością do Jacka. Mimo to łapała się na tym, że niecierpliwie wyczekuje najlżejszego dotknięcia. Wystarczyło, by musnął dłonią jej plecy lub ukradkiem objął ją w talii i natychmiast czuła rozkoszny dreszcz.

Zaczęła nosić gorset, żeby zapanować nad krnąbrnym ciałem, lecz i to niewiele pomogło, śmiało więc zrezygnowała ze sztywnych fiszbin. Szczupłe panie skwapliwie odrzuciły ten element stroju jako

zbędny, gdy upowszechniła się francuska moda z czasów cesarstwa. Suknie z podniesioną talią, uszyte z cienkich, lejących się tkanin wymagały jedynie lekkiej koszulki dopasowanej zaszewkami i mającej ramiączka podtrzymujące biust.

Beth zadrżała, wspominając, że Jack zdjął kiedyś rękawiczkę i palcem obrysował dekolt najmodniejszej kreacji od Wortha, uszytej z haftowanego muślinu, zwiewnego niczym mgła. Natychmiast odsunęła jego dłoń i udała zagniewaną. Domyślny uśmiech Jacka sprawił, że przez cały wieczór czuła się zbita z tropu. Miała wrażenie, że z dnia na dzień staje się coraz większą bezwstydnicą.

Gdy pewnego wieczoru znalazła się z nim sam na sam w ogrodzie zimowym lady Raythorn, ogarnęły ją złe przeczucia. Pożerał ją zachłannym spojrzeniem ciemnych oczu i podejrzewała, że zanoszą się na podobny incydent.

– Powinniśmy z innymi usiąść do kart – powiedziała, niezbyt udatnie starając się ukryć, że nie ma na to ochoty.

– Jeszcze chwila – szepnął z wargami przy jej uchu. – Za bardzo się natrudziłem żeby cię tutaj zwabić. – Objął ją w talii i mocno przytulił.

– Jack, przestań! – ofuknęła go spłoszona i przymknęła oczy, rozkoszując się jego dotknięciem. – Gdzie Eufemia i Colin?

– Pochłonięci grą w wista, jak sądzę – odparł z roztargnieniem, całując jej kark. – Brak ci ich?

Raczej nie... W tym momencie myślała jedynie o tym, że ktoś może wejść do cieplarni i przerwać to sam na sam wśród przywiedłych roślin.

– Nie powinieneś... – powiedziała z obowiązku, gdy przez muślin objął dłonią jej pierś, a drugą wolno przesunął po dekolcie. Cienka tkanina stanowiła marną osłonę przed silnymi, długimi palcami.

Drzwi skrzypnęły, jakby ktoś wszedł. Jack natychmiast opuścił ręce i wymamrotał:

– Szybko. Tędy.

Beth nie protestowała, gdy pociągnął ją ku drzwiom, których przedtem nie spostrzegła. Wychodziły na ogród i były przeznaczone dla służby. Goście ich nie używali. Obok znajdowała się niewielka komórka na narzędzia, niemal całkowicie obrośnięta bujnymi pnączami.

– Do środka – rzucił półgłosem Jack. Natychmiast zniknęli w niewielkim pomieszczeniu.

– Nie możemy wejść przez taras? – spytała pełna obaw, że zauważono ich nieobecność i rozpoczęto poszukiwania.

– Jeśli ktoś jest w ogrodzie zimowym, na pewno nas zobaczy – wyjaśnił. – Odczekamy chwilę, a potem okrążymy taras i wejdziemy do sali balowej, udając, że spacerowaliśmy po ogrodzie.

– Długo mamy tu zostać? – zapytała ledwie słyszalnym głosem.

– Wiem, jak skrócić oczekiwanie – szepnął, objął ją mocno i pocałował zachłannie.

Całusów skradł jej bez liku. Wszystkie z wyjątkiem pierwszego, tuż po zaręczynach, były żartobliwe, ukradkowe, przelotne. Brakowało w nich namiętności. Teraz Beth uległa jej mocy i rozchyliła usta, świadoma, że Jack chce w niej rozpalić to samo uczucie.

Zdawała sobie sprawę, że to pewnie jedyna szansa, aby zakosztować zakazanych rozkoszy, i z zapalem odwzajemniła pocałunek. Dawała i brała, okazując zachłanność, i wkrótce doświadczyła prawdziwego pożądania. Upajała się pieszczotami jak mocnym korzennym winem, które uderza do głowy. Czuła ulotny zapach męskiego ciała, zwodniczy, kuszący. Nie mogła się nim nasycić.

Wsunęła dłonie w ciemne włosy Jacka, jakby z obawy, że odsunie się od niej. Drobne palce zniknęły wśród aksamitnych kosmyków. Beth zamknięta w ciasnym uścisku, przylgnęła do Jacka— Nikt jej dotąd nie wyjaśnił, co się dzieje między kobietą a mężczyzną, gdy zostają sami, lecz intuicyjnie wyczuła, na czym polega zbliżenie.

Jack uniósł głowę i szepnął jej do ucha, wyraźnie zawiedziony:

– Nie mogę wziąć cię tutaj. Nie śmiem tego zrobić, ale pragnę cię, Beth. Nie mogę bez ciebie żyć.

Oddychała spazmatycznie, czując mrowienie tam, gdzie jej dotykał. Oczywiście powinna go zgromić, wyrwać się i uciec, ale nie miała na to ochoty. Zresztą, gdyby nawet uznała za stosowne salwować się ucieczką, kolana by się pod nią ugięły i upadłaby mu do stóp. To by dopiero było widowisko!



– Pragnę cię – powtórzył szeptem i koniuszkiem języka przesunął po jej uchu. Ogarnięta żądzą jęknęła. – Przyjdź do mnie – mruknała. – Najlepiej późnym wieczorem. – Położył dłonie na jej biodrach i przyciągnął do swoich. – Błagam.

Beth miała wrażenie, że cała płonie.

– Jak? Gdzie? – spytała urywanym głosem.

Długo milczał, stojąc nieruchomo jak posąg. Beth zdawała sobie sprawę, ile wysiłku kosztuje go takie opanowanie, bo mięśnie miał napięte i wstrzymał oddech.

Gdy odezwał się w końcu, usłyszała w jego głosie nutę żalu.

– Wybacz mi – poprosił. – Nie możemy.

– Dlaczego? – zapytała bez namysłu.

W świetle księżyca wpadającym przez okno widziała dość wyraźnie jego twarz i smutny uśmiech.

– To byłoby szaleństwo – odparł, odsuwając się od niej. Czowała na sobie jego spojrzenie. – Tak nie wypada. Ten postępek skompromitowałby cię na zawsze. Jesteśmy w sytuacji bez wyjścia.

– Ależ skąd – powiedziała, niewiele myśląc, dręczona niezaspokojonym pożądaniem. – Dzisiaj to niemożliwe. Lepiej jutro – szeptała pospiesznie. – O wpół do dwunastej czekaj na mnie w zamkniętym powozie koło sklepu z kapeluszami Chez Arnaud. Będę sama. Włożę prostą szarą pelerynę i duży czepek, żeby ukryć twarz. Sam zdecyduj, dokąd mnie zawieziesz. Przed trzecią muszę wrócić do domu.

Westchnął, jakby nie był zachwycony tym pomysłem.

– Na pewno się uda – zapewniła.

– Ale dziś wieczorem musisz obiecać, że wyjdiesz za mnie. W przeciwnym razie...

– O nie! – odparła, wybuchając śmiechem. – Znasz moje poglądy na małżeństwo. Postanowiłam zostać starą panną, ale to nie znaczy, że mam pozostać niewinna. Spotkam się z tobą.

Odsunął kosmyk opadający jej na brwi i pocałował w czoło.

– Zmienisz zdanie, jeśli spodoba ci się cielesny aspekt małżeństwa?

– Nie ma mowy – oznajmiła szczerze. – Są inne ważniejsze sprawy. Musze jednak przyznać, że... wzbudziłeś moją ciekawość. Musisz ją zaspokoić. To będzie przyjacielska przysługa. – Podeszła bliżej i umyślnie otarła się o niego.

Przymknął oczy i cofnął się, lecz nadal mocno ścisnął jej dłonie.

– A więc do jutra – zgodził się niechętnie. – Teraz odprowadzę cię do sali balowej. Jeśli twój ojciec wpadnie w gniew, oboje możemy tego nie dożyć.

Ruszyli przez ogród ku tarasowi. W połowie cienistej alejki nagle przystanął.

– Beth, winien ci jestem przeprosiny.

– Ani mi się waż – szepnęła. – Pamiętaj, wpół do dwunastej.

Następnego ranka Colin uparcie optował za schadzką, a Jack mnożył argumenty przeciwko niej. Wątpliwości dręczyły go przez całą noc i brat domyślił się, co jest powodem owych rozterek. Nie mieli przed sobą tajemnic, ponieważ byli nierozłączni, odkąd przyszedł na

świat Colin, który potrafił słuchać, ale jego rady rzadko cechował zdrowy rozsądek. Wielokrotnie słyszał również zarzuty, że nie zważa na głos sumienia. Jack czuł się teraz podle i wyrzucał sobie, że zwierzył się bratu jedynie po to, aby ten znalazł usprawiedliwienie dla jego postępuku.

– Powiniennem najpierw wyznać jej prawdę – tłumaczył.

– O tytule?

– Tak. Musi też wiedzieć, że jestem zdecydowany ją poślubić, i nie spocznę, dopóki nie uzyskam jej zgody. Niech wie, dlaczego tak mi na niej zależy.

– Już się zadeklarowałeś. – Colin zmarszczył brwi. – Moim zdaniem to wystarczy. Powtórne oświadczenia utwierdzą ją w oporze, skoro wbiła sobie do ślicznej główki, że zostanie starą panną. – Colin uśmiechnął się chytrze i dał bratu kuksańca. – Przekonaj ją, człowieku! Spraw, żeby zapragnęła mieć cię za męża. Niech sama wpadnie na ten pomysł. Śmiało! Dasz sobie radę. – Zamilkł na chwilę i dodał: – Poza tym może będzie dziecko...

– Ty diabelskie nasienie! – Jack spiorunował go wzrokiem. – Jestem człowiekiem honoru.

– A jednak chętnie włożyłbyś jej łapy pod spódnicę.

– Nieprawda! Wyznam jej wszystko...

– I stracisz ją na zawsze – ostrzegł Colin, energicznie kiwając głową.

– Wiesz co? Pojadę, lecz nie ulegnę dziś jej namowom. Tak, moim zdaniem to najlepsze wyjście. Jaki mężczyzna pogodzi się z tym,

że najdroższa ulega mu jedynie z ciekawości? – Dla podkreślenia tej maksymy gwałtownie uniósł ramiona.

– Chcesz mieć Beth bez względu na okoliczności – odparł Colin, ledwie tłumiąc śmiech. – Przyznaj się.

– I dostanę ją, ale nie dziś. W jednej sprawie przyznam ci rację. Jest za wcześnie, żeby powiedzieć jej o tytule. Poczekam z tydzień, aż będzie gotowa. Już teraz darzy mnie chyba uczuciem mocniejszym niż zwykła sympatia.

– No, pewnie! – zawołał Colin. – Jestem dobrej myśli. Zważ tylko, po co zapragnęła się z tobą spotkać. – Stał przed lustrem, poprawił fular i uśmiechnął się do swego odbicia. – Możesz ją przywieźć do domu. Idę w miasto i zamierzam się zgrać. Narobię ci długów. Wrócę późnym wieczorem.

Jack pokręcił głową.

– Nie musisz wychodzić. Tu jej nie zabiorę. Wystarczy długa przejażdżka.

– Niezbyt to wygodne, ale rób, jak chcesz.

– Znaczący się odezwał – mruknął Jack. – Co ty wiesz o pieszczotach w powozie? Na niewinnych panienkach też się nie znasz.

Wyszedł, zostawiając uśmiechniętego Colina, który nadal stał przed lustrem.

Gdy powóz ruszył sprzed domu, zaczął padać śnieg. Z szarych chmur sypały się wolno ogromne płatki, które natychmiast topniały na bruku, ponieważ było dość ciepło. Zamiast białej pierzynki zapowiadało się paskudne błoto. Nieutwardzone drogi i pobocza

wkrótce rozmokną. Jack chciał przed nastaniem zimy ożenić się i wrócić do posiadłości. Czekali na niego słudzy i chłopci. Martwili się zapewne, jak będzie wyglądać ich życie pod rządami nowego pana.

Szybko dotarł na miejsce spotkania. Chez Arnaud okazał się sklepem dość skromnym, jednym z wielu podobnych przy Elvin Street, odwiedzanym głównie przez mieszczan. Okna wystawowe ozdobione były pędami bluszczu i girlandami z ostrokrzewu o czerwonych jagodach. Wśród zieleni ułożono sprzedawane w sklepie towary: puszki z tytoniem, kolorowe zabawki, wełniane szale, rękawiczki, a przede wszystkim kapelusze.

Jack długo siedział w powozie, wyglądając przez okno. W końcu dostrzegł Beth. Wyszła od modystki, niosąc niewielkie, pasiaste pudło na kapelusze. Natychmiast otworzył drzwi powozu i wysiadł, żeby jej pomóc.

Dopiero gdy usadowili się wygodnie, zaciągnąwszy rolety w okienkach, zrzuciła obszerny kaptur i uśmiechnęła się do Jacka.

– Skąd wiedziałeś, że to ja, a nie panna sklepowa? – zapytała, chichocząc.

Skąd wiedział? Dobre pytanie? W tej dzielnicy widziało się setki kobiet w szarych pelerynach.

– Wiem, jak chodzisz, jak trzymasz głowę, jak się poruszasz. Nie miałem wątpliwości, komu wychodzę naprzeciw.

– Aha. Zaraz usłyszę, że każdy mój gest to skończona doskonałość – odparła rozbawiona, choć zarazem drżała z niecierpliwości.

– Owszem. Wyznam ci jednak, że powitałbym serdecznie każdą ludzką istotę, która podeszłaby do mnie, bo długo na ciebie czekałem – droczył się z nią. – Jakież trudności? Nie mogłaś się wyrwać?

– Ależ skąd – zapewniła. – Uznałam tylko, że będziesz za mną bardziej tęsknił, jeśli pozwolę sobie na małe spóźnienie.

Jack wybuchnął śmiechem i ucałował dłoń w cienkiej skórzanej rękawiczce.

– Wczoraj nie wydałem ci się dostatecznie stęskniony?

– Owszem, lecz po chwili opadły cię wątpliwości. Bałam się nawet, że nie przyjedziesz na spotkanie. Gdzie ma się odbyć nasza schadzka?

Jack polecił stangretowi jechać pustymi bocznymi ulicami, póki nie zarządzi inaczej. Objął Beth ramieniem i pocałował w czoło.

– Musimy porozmawiać.

– Oho, słyszę ton wahania w twoim głosie! Postanowiłeś, że mnie... nie oświecisz?

– Tak, chyba że obiecasz wkrótce zaprowadzić mnie do ołtarza. Musisz wyznać, że mnie kochasz – zaryzykował.

– Kocham cię – odparła dość obojętnie – lecz o ślubie nie ma mowy.

Jack westchnął. Kolejna batalia przegrana, jednak nie zamierzał się poddać.

– Jak możesz twierdzić, że kochasz, odrzucając zarazem moje oświadczenia?

Spoważniała i przestała go kokietować.

– Jesteś cudowny, Jack. Nie znam miłszego człowieka, ale już ci mówiłam, że nie mogę wyjść za mąż. Powodów mam zbyt wiele, żeby je wyliczać.

– Jak sądzę, lęk przed wspólnotą łoża raczej do nich nie należy?

Beth wzruszyła ramionami.

– Słuszna uwaga. Muszę przyznać, że to jedyna korzyść, jaką potrafię sobie wyobrazić. Mam pieniądze, którymi sama pragnę dysponować. Odpowiedz szczerze: czy gdybyśmy się pobrali, cały nasz majątek należałby do ciebie?

– Według prawa owszem – przyznał – ale z twoich pieniędzy nie wzięłbym ani pensa. Po ślubie będziesz mogła swobodnie dysponować wszystkim, co wniesiesz do wspólnego domu.

– Ślubu nie będzie – oznajmiła stanowczo. – Założmy, że postanowię roztrwonić całą sumę na zaspokojenie potrzeb sierot oraz innych biedaków. Uznasz, że to korzystna inwestycja?

– Całą sumę? – zapytał, podejrzewając, że Beth żartuje. Do niedawna posiadał tak niewiele, że nader rzadko starczało mu pieniędzy na opędzenie własnych potrzeb, toteż nie miał z czego wspierać ubogich.

Skinęła głowa. Od razu wiedział, że to nie było właściwe pytanie.

– I cóż? – mruknęła, wysuwając dłoń z jego ręki. – Sprzeciwiłbyś się, prawda? Uznałbyś za swój obowiązek udzielić mi światłej rady, a gdybym nie posłuchała, w twoim odczuciu powinnością męża byłoby uchronić żonę przed jej nierozwagą. Mam rację?

Jack zdawał sobie sprawę, że stąpa po cienkiej linie. Nie śmiał kłamać na wypadek, gdyby przepowiednia kiedyś się sprawdziła. Beth w swej dobroci gotowa jest doprowadzić do ruiny i siebie, i jego, wspierając hojnie ubogich aż do całkowitego wyczerpania zasobów. Marzyło jej się wyciągnięcie z biedy wszystkich potrzebujących. Taką ją właśnie pokochał. Przede wszystkim za dobre serce.

– Beth – zagadnął ostrożnie – uważasz, że chcę ożenić się z tobą dla pieniędzy?

– Na Boga! Nie!

– Czy uwierzyłabyś uroczystym zapewnieniom, że nic mi do twoich pieniędzy, gdybym był bogaty i utytułowany?

– Ale nie jesteś. – Wzruszyła ramionami. – Zresztą w takim wypadku moja nieufność jeszcze by się pogłębiła. Bogaty wielmoża byłby wobec mnie znacznie bardziej zasadniczy i władczy niż ty. Poza tym kto żyje w wielkim świecie, musi bywać, a to spora uciążliwość. Gdybym skwapliwie wypełniała towarzyskie obowiązki, wszystkie moje zamierzenia z braku czasu spełżyłyby na niczym. Ach, te czcze rozrywki – dodała znudzonym głosem. – Sam wiesz, co to znaczy. Jestem tylko córką barona, a i tak mam ich serdecznie dosyć, bo są mi kulą u nogi. Zapewniam cię, że gdybym kiedykolwiek zdecydowała się na małżeństwo, na pewno wybiorę kandydata bez tytułu.

Wszystko jasne. Szczere wyznanie przyniesie więcej szkody niż pożytku. Straciłby Beth na zawsze. Mimo woli zastanawiał się, dlaczego filantropia i związane z nią zamysły są dla niej tak ważne.



– Czemu nie powiesz mi, na co chcesz przeznaczyć odziedziczone pieniądze? Być może zgodzę się z tobą, że to sprawy wielkiej wagi.

– Nie zaprzataj sobie tym głowy. Obejdę się bez twojej rady, pozwolenia czy błogosławieństwa. Gdybym za ciebie wyszła, musiałabym liczyć się z twoim zdaniem, więc ślubu nie będzie – oświadczyła.

– Czas pokaże. Nie składaj pochopnych deklaracji – odparł, ujął jej dłoń i położył na swoim sercu. – Powiedziałaś, że mnie kochasz.

Uśmiechnęła się znowu, ale smutno. Z czułością pogładziła kłapę jego płaszcza.

– To prawda. Jesteś moim najlepszym przyjacielem.

– To mi nie wystarcza, Beth. – Popatrzył jej w oczy.

– W takim razie zostań moim kochankiem – szepnęła, podając mu usta do pocałunku. – Bardzo tego pragnę.

Pocałował ją, zatracając się w cudownych odczuciach. Ogarnięci pożądaniem, szybko dali się ponieść namiętności. Jack wiedział, że Beth jest spragniona rozkoszy. Poznał to po jej przyspieszonym oddechu i zmysłowych jękach. Mówiła szczerze. Naprawdę pragnęła mu się oddać.

Miał jednak w pamięci niedawne ostrzeżenie Colina. Powóz nie jest odpowiednim miejscem, żeby kochać się z panną, którą chciał pojąć za żonę. Zdawał sobie również sprawę z tego, że powinien spisać się lepiej niż kiedykolwiek, żeby trwale ją do siebie przywiązać.

Mimo to żądza i chęć osiągnięcia celu omal nie przewyciężyły wszelkich skrupułów. Niewiele brakowało, a rzecz dokonałaby się w jadącym powozie. Trzeba było potężnej wyrwy w bruku, żeby gwałtowne kolebanie oderwało ich od siebie.

Beth wybuchnęła śmiechem, pocierając nos, którym uderzyła o policzek Jacka. Czepek się jej przekrzywił, a usztywnione aksamitne rondo straciło fason. Nigdy dotąd nie wydawała się Jackowi równie słodka i upragniona. Niewiele brakowało, aby zapukał w dach powozu, nakazując stangretowi jechać do londyńskiego domu. Tam niewątpliwie potrafiłby ją przekonać, że są dla siebie stworzeni, a dalsze życie w pojedynkę nie ma sensu.

Załóżmy jednak, że stałoby się inaczej. W sprawach alkowy Beth była nowicjuszką, a wiadomo, że pierwszy raz dla kobiet jest mało przyjemny. W tej materii Jack czuł się bezradny. Miał wiele kobiet, lecz wszystkie były doświadczone.

Te obawy, nie zaś poczucie honoru oraz moralne skrupuły przekonały go, że powinni się wstrzymać. Uznał, że najpierw musi przekonać Beth, aby za niego wyszła. Zaryzykuje, gdy będą po słowie.

– Nie podejrzewałam, że jesteś świętoszkiem – kpiła dobrodusznie, gdy poprawiał jej czepek. – Zresztą może tak jest lepiej?

– Co masz na myśli? – spytał z udawaną obojętnością, wpatrzony w rondo, któremu usiłował przywrócić właściwy kształt.

– Po wyjeździe za bardzo bym za tobą tęskniła. Ojciec zdecydował, że jutro wyjeżdżamy na wieś, bo pogoda się pogarsza i

wkrótce drogi będą fatalne. Muszę wrócić do domu przed trzecią, żeby doglądać pakowania.

Jack wpadł w popłoch. Beth wyjeżdża? Dlaczego wcześniej o tym nie wspomniała? Jak mogła zakładać, że odda mu się po południu, by następnego dnia rano opuścić miasto, jakby nic ważnego między nimi nie zaszło? Do diabła, to się jej nie uda!

Pospiesznie ułożył w głowie listę spraw, które należało załatwić w Londynie. Nie było ich wiele, lecz potrzebował niespełna tygodnia, żeby się z nimi uporać i pospieszyć za Goodsonami. Trzeba dokończyć papierkową robotę związaną z przejęciem spadku, uporządkować i zamknąć londyński dom, złożyć konieczne zamówienia, aby zimą we dworze wszystkiego było pod dostatkiem.

– Wyruszymy z Colinem w przyszły piątek – oznajmił takim tonem, jakby zdecydował o tym znacznie wcześniej. – Jeśli pozwolisz, w sobotę odwiedzimy ciebie i Eufemię.

– Nie! – zawołała, lecz po chwili zdała sobie sprawę, że reaguje nazbyt gwałtownie. – W niedzielę. Zapraszam was na niedzielną kolację. Tak będzie lepiej. W soboty... jest tyle zajęć. – Głos jej złagodniał, a twarz się wypogodziła. – Jestem bardzo rada, że zamieszkasz w pobliżu.

– Naprawdę? – rzucił nazbyt ostrym tonem. Zbliźali się do kamienicy Goodsonów i nie chciał, żeby utkwiała jej w pamięci szorstka odpowiedź i dlatego dodał łagodniej: – Cieszysz się na to spotkanie?

– Owszem – przyznała, zawiązując pod brodą wstążki czepka. – Oparłeś się wprawdzie moim wdziękom, lecz sądzę, że nadal możemy być przyjaciółmi i dobrymi sąsiadami.

Ten spokój i opanowanie przyprawiły go o wściekłość, której nie potrafił stłumić. Przyciągnął Beth i pocałował ją w usta, przywołując wszystkie kusicielskie talenty i bezmiar namiętności, Pieścił jej piersi i przylgnął do niej całym ciałem, żeby pojęła, co się z nim dzieje, kiedy są razem.

Wypuścił ją z objęć dopiero, gdy im obojgu zabrakło tchu. Drżała, ogarnięta pożądaniem. Gdzie się podziało twoje opanowanie, młoda damo? – pomyślał, samemu próbując zapanować nad ponownie rozbudzoną żądzą.

Powóz stanął. Jack zdobył się na łagodny uśmiech, wysiadł i podał rękę Beth.

– Szczęśliwej podróży – powiedział z udawanym spokojem. Najchętniej wziąłby ją znowu w ramiona.

Powiedziała do niego parę słów. Miała szeroko otwarte oczy, źrenice rozszerzone. Oboje ulegli pożądaniu, a Jack nie posiadał się z radości, że w tej dziedzinie jest bez porównania bardziej doświadczony.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

– Wielka szkoda, że ojciec tak nalegał, abyśmy odwiedzili dzisiaj Marstonów – narzekała Beth, poprawiając Eufemii wyprasowaną w pośpiechu suknię. – Byłoby lepiej, gdybyśmy zgodnie z planem jutro z samego rana wyruszyli w drogę.

Po południu śnieg padał obficie, więc baron Goodson postanowił odwlec wyjazd jeszcze o jeden dzień. Beth nie była z tego zadowolona, jako że po dzisiejszej schadzce nie miała ochoty widzieć Jacka.

– A ja się cieszę, że tam idziemy – odparła Eufemia. – Colin jeszcze się nie zdeklarował, ale jest tego bliski.

– Moim zdaniem on i Jack nie pokażą się u Marstonów – uznała Beth. – O tej porze roku na przyjęciach bywa niewielu gości. Przychodzą tylko stali mieszkańcy Londynu. Niemal wszyscy przyjezdni wrócili na wieś, żeby spędzić święta w domu. I słusznie, bo trzeba mieć wzgląd na pogodę.

– Keithowie na pewno przyjdą – zapewniła Eufemia. – Wysłałam Colinowi bilecik. Napisałam, że wybieramy się do Marstonów.

– Jak mogłaś?! – wykrzyknęła Beth. – Nie wypada, Eufemio! Co on o tobie pomyśli?

– Że mam nadzieję ujrzeć go dziś wieczorem. Jestem pewna, że zniechęcisz Jacka, jeśli będziesz uparcie przestrzegać konwenansów.

Byłaby przerażona, gdyby wiedziała się, jak ochoczo Beth zamierzała się im przeciwstawić.

– Przyjmij do wiadomości, że nie mam nic przeciwko temu, żeby go zniechęcić, jak byłaś łaskawa to ująć. Doskonale wiesz, że nie poluję na męża. A ty zaprzepaścisz swoją szansę na ślub z Colinem, jeśli będziesz ścigać go niczym pies myśliwski w pogoni za zającem.

– Mój zając ostatnio coraz wolniej mi umyka. Sądzę, że chętnie da się złapać.

– Aha, rączka psinka ma na niego chrapkę – mruknęła do siebie Beth, lecz po namyśle uznała, że po tym, co wyprawiała dziś przed południem i wczoraj wieczorem, nie ma prawa potępiać Eufemii. W porównaniu z tym, jak ona sama postępowała, wysłanie liściku z wiadomością o planowanych odwiedzinach u Marstonów to drobiazg.

A zatem Jack będzie tam dziś wieczorem. Beth nie miała pojęcia, jak się wobec niego zachować po namiętym pożegnalnym całusie. Dlaczego ten mężczyzna pociągał ją z nieodpartą siłą? Wystarczyło, że na nią spojrział, i natychmiast traciła rozsądek.

Obawiała się na serio, że w końcu uzna Jacka za odpowiedniego kandydata na męża. Z dała od niego myślała trzeźwo i zdawała sobie sprawę, że ich związek nie ma przyszłości, lecz pod wpływem jego pocałunków, uścisków i spojrzeń zaczynała się wahać.

Kiedy zeszły do holu, baron już czekał. Z osobliwym rozrzewnieniem popatrzył na zdumioną córkę. Czyżby znowu spiskował z lordem Harnellem? Miała nadzieję, że nie dojdzie do kolejnej reprimendy. Baron w milczeniu zaprowadził lady Goodson, Beth i Eufemię do powozu czekającego przed domem.

Po kwadransie byli na miejscu, ponieważ dom Marstonów stał niedaleko ich kamienicy. Mimo znanej punktualności barona tym razem spóźnili się jak prawdziwi modnisie, ponieważ trzeba było wyjąć z kufrów i odprasować wieczorowe suknie.

– Nie ma go – szepnęła zawiedziona Eufemia, rozglądając się po salonie.

Zgodnie z przypuszczeniem Beth gości było niewielu. Mniej więcej czterdzieści osób krążyło po salonie, a muzycy grali cicho, żeby nie zagłuszać rozmów. Tańce nie zostały przewidziane z powodu dotkliwego zimna uniemożliwiającego otwarcie sali balowej.

– Zapewne siądziemy do kart – narzekała Eufemia. – Jakże mnie nudzi wist!

– Mnie również – przyznała Beth. – Mam nadzieję, że napalono w bibliotece i bawialni, by amatorzy innych rozrywek mieli się gdzie schronić. – Popatrzyła na drzwi prowadzące do holu. – Sprawdzę to. Poczekaj.

Wyszła poszukać spokojnego kąta, gdzie mogłaby przeczekać wieczór. Rosnący gwar w salonie przyprawił ją o migrenę. Nie chciała przyznać, że jest zawiedziona nieobecnością Jacka. Wątpliwe, żeby teraz nadjechał, skoro przyjęcie trwało od pewnego czasu, a goście bawili się w najlepsze.

W bibliotece zastała nieliczne towarzystwo. Już miała wrócić do Eufemii, gdy podszedł do niej służący, trzymając złożony arkusik.

– Panna Bethany Goodson? – zapytał.

– Tak?

– Pewien dżentelmen polecił mi oddać ten list, gdy tylko pani przybędzie. – Wręczył jej kartkę i odszedł.

Papier miał barwę kości słoniowej. „Musimy się spotkać. Przyjdź zaraz na górę, trzecie drzwi od gotowalni dla dam. Pospiesz się”. Zamiast podpisu widniało zamaszyste „J”.

Beth zwinęła kartkę i schowała do woreczka. List od Jacka. Poza nim nie знаła nikogo o takim inicjale, kto mógłby jej przesłać wiadomość. Czyżby miał dla niej złe nowiny?

Opuściła bibliotekę bez pośpiechu, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Szerokie schody wiodły z holu na piętro. Drzwi pierwszej sypialni pozostały szeroko otwarte, lecz w środku nie widziała dam. Śmiało pobiegła w głąb korytarza do pokoju wskazanego przez autora listu. Drzwi były uchylone. Wślizgnęła się do środka i natychmiast zamknęła je za sobą.

Zdawała sobie sprawę, że gdyby przyłapano ją w sypialni sam na sam z mężczyzną, byłaby skompromitowana. Zbyt późno uświadomiła sobie, że być może o to chodziło. Znalazła się w mocnym uścisku. Męska dłoń zasłoniła jej usta.

– Nie próbuj się opierać – nakazał chrapliwy głos.

Uniesiona wysoko straciła grunt pod nogami i wylądowała na ogromnym łożu z baldachimem. Kopała napastnika, ale miękkie pantofelki nie uczyniły żadnej szkody. Daremnie młóciła ramionami powietrze, próbując dosięgnąć głowy lub ramienia. Wściekła z powodu swojej bezsilności zapomniała o strachu.



Wbiła zęby w dłoń zasłaniającą jej usta i dzięki temu zdołała odetchnąć głęboko, wydając zarazem dźwięk pośredni między krzykiem a jękiem. Mężczyzna stłumił go natychmiast, zatykając jej także nos.

Już wiedziała, że to nie Jack, tylko Artur Harnell unieruchomił ją na łóżku całym ciężarem swego ciała. Z braku powietrza kręciło jej się w głowie. Broniła się nadal i wzywała bezgłośnie jedyne go mężczyznę, który mógłby ją ocalić. Wkrótce zemdlą.

Gdy Jack szedł z Colinem ku Eufemii, odczuwał dziwny niepokój. Promienna radość na obliczu jasnowłosej panny wzbudziła jego irytację, ale przywykł do tego odczucia. Stale miał przed oczyma twarz i postać Beth, lecz jej samej nie było w salonie.

– Poszła do biblioteki – oznajmiła Eufenia, nie czekając, aż zada pytanie.

– Przepraszam na chwilę – wymamrotał i ruszył tam od razu, nie bacząc na pozdrowienia innych gości. Nie zastał jej w obszernym, wygodnym pomieszczeniu, gdzie na ozdobnych półkach stały książki w skórzanych okładkach. Gdzie się schowała, do diabła?

Odwrócił się gwałtownie i wpadł na Aurelię Sapps, przyjaciółkę Beth, którą widywał czasami na przyjęciach.

– Szuka pan Bethany? – zapytała z chytrym uśmiechem, pokazując brzydkie zęby. – Poszła na górę.

– Dzięki – burknął i skierował się ku schodom.

– Chwileczkę, panie Keith – zawołała, biegnąc, żeby dotrzymać mu kroku. – Chodźmy razem. Zajrzę do gotowalni i sprawdzę, czy Beth tam jest. Panu nie wypada wchodzić.

Jack zwolnił, uświadamiając sobie, że ośmiesza się, pędząc na łeb, na szyję. Odwrócił się i podał ramię pannie Sapps.

– Dziękuję. To bardzo miło z pani strony. Skąd pani wiedziała, że szukam panny Bethany?

Wybuchnęła śmiechem podobnym do radosnego kwakania. Wydatny nos i żółta suknia także upodabniały ją do kaczki.

– A kogo miałby pan szukać? To oczywiste, że stracił pan dla niej głowę – odparła. – Widziałam, jak się całowaliście tamtej nocy na tarasie Randolphów i słyszałam pańskie oświadczyzny. Jakie to romantyczne! – Tym razem radosne kwakanie zabrzmiało ciszej, lecz silne palce mocno ścisnęły jego ramię.

– Przyznaję, że kocham nad życie pannę Bethany. – Lepiej wyznać prawdę damie, która ma taką siłę w rękach.

– Och, cudownie! – ucieszyła się Aurelia. – Oboje jesteście szczęściarzami. Muszę przyznać, że wam zazdroszczę. Z moim wyglądem trudno będzie znaleźć męża. Zdaniem papy nawet posag nie pomoże.

Aurelia Sapps była córką ubogiego baroneta, który z konieczności poślubił bogatą dziedziczkę. Jej rodzina dorobiła się na handlu whisky. Pospolite zajęcie budziło dezaprobatę wyższych sfer. Nawet gdyby Aurelia był skończoną pięknnością, nie mogłaby liczyć na utytułowanego kandydata do ręki.

– Zerknę do gotowalni i poproszę, żeby wyszła do pana – zaoferowała się przyjaźnie i obdarzyła go szerokim uśmiechem.

Uradowany Jack doszedł do wniosku, że przyjazna i szczerą Aurelia wcale nie jest taką brzydula. Miała ładne ciemnozielone oczy i rude włosy. Gdyby inaczej się czesała...

– Serdeczne dzięki, panno Sapps. Będę pani dozgonnie wdzięczny.

Stał w korytarzu z rękoma założonymi na piersi, niecierpliwie kiwając się w przód i w tył. Nagle z głębi korytarza dobiegł stłumiony krzyk.

Coraz bardziej zaniepokojony Jack machnął ręką na zasady dobrego tonu i zaczął otwierać drzwi. Za trzecimi ujrzał wielkie łóżko i Harnella szarpiącego lawendową suknię Bethany.

Rzucił się na niego, chwycił za kołnierz, odciągnął i zadał potężny cios pięścią w brzuch, a potem w szczękę. Nieprzytomny Harnell osunął się na podłogę.

– Beth! – Jack podbiegł do łóżka.

– Wielkie nieba! – usłyszał stłumiony krzyk.

– Proszę zmoczyć ręcznik w zimnej wodzie – polecił Aurelii Saaps. – Zemdląca.

– Podły brutal! – oburzyła się Aurelia i natychmiast zamknęła drzwi. Podbiegła do porcelanowej umywalni i wróciła z zimnym kompresem. – Zrobił jej krzywdę?

Beth odzyskiwała przytomność. Jack usiadł obok niej, podtrzymując ramieniem, odgarnął włosy z czoła i przetarł skronie rącznikiem.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– Już dobrze. – Kiwnęła głowę i chwyciła jego dłoń. – On... Zwabił mnie tutaj. Sądziłam, że to bilecik od ciebie. – Z obawą spojrzała mu w oczy. – Czy udało mu się...

– Nie, nie. Oddychaj głęboko. – Harnell nie dopiął swego, ale Beth i tak była wstrząśnięta. Jack przyciągnął ją do siebie. – Uspokój się. Już dobrze.

Aurelia kopnęła nieprzytomnego Harnella.

– Zasłużył na surową karę. Nie żyje?

– Jest nieprzytomny. Mógłbym zatłuc szubrawca, ale mdli mnie na jego widok. Poczekam, aż opuści ten dom. Wtedy się z nim rozprawię.

– Mam lepszy pomysł – oznajmiła, unosząc brwi i uśmiechając się krzywo. – Mój dziadek ze strony mamy dawno znalazł świetny sposób na takie indywidua. Gdy znowu wypłynie w rejs, wyrzuci go za burtę.

– Nieważne. Z przyjemnością sam porachuję mu kości.

Aurelia pokręciła głową.

– Będzie pan musiał się z tego tłumaczyć. Jeśli sprawa wyjdzie na jaw, Beth zostanie skompromitowana.

– Aurelia? Co ty tutaj robisz? – Beth odzyskała przytomność i wsiadła na łóżku.

– Poluję na utytułowanego męża – oznajmiła Aurelia. – Doszłaś do siebie, prawda? W takim razie pomóżcie mi drania rozebrać... przynajmniej częściowo. Wciągnijmy go na łóżko.

– Co pani zamierza? – dopytywał się Jack. Przejrzał ją, ale podejrzewał, że jest szalona.

– To chyba oczywiste! Szybciej, bierzcie się do roboty! Jestem silna. We trójkę zdołamy przenieść go na posłanie.

– Harnell nie jest dla pani odpowiednim kandydatem na męża. Miała pani okazję się przekonać, że to okrutnik, na domiar złego po uszy w długach, niewart zainteresowania.

– Ma pan całkowitą rację, ale zależy mi na ślubie, nie na wspólnym życiu. Zaraz po ceremonii Harnell wypłynie z Londynu i na pewno będzie tym wielce ukontentowany. Chcę tylko wolności, którą daje ślubna obrączka. Szybciej, bo ten łotr lada chwila się ocknie.

Beth i Jack pomogli Aurelii rozebrać Harnella. Zdjęli mu surdut i kamizelkę, gdy ona ściągała buty i spodnie. We trójkę wciągnęli go na posłanie.

– Ukryjcie się w garderobie, jeśli chcecie obejrzeć spektakl – poradziła z łobuzerskim uśmiechem.

Jack wziął Beth za ramię i zaprowadził do ciemnego pomieszczenia między sypialniami, zostawiając uchylone drzwi. Z niedowierzaniem patrzyli na wysoką, niezgrabną Aurelię Sapps, która śmiało rozdarła żółtą suknię, zwichrzyła rude włosy i zrzuciła pantofle. Ułożyła się na posłaniu obok nieprzytomnego Harnella, przylgnęła do

niego, wsunęła się między bezwładne ramiona i wrzasnęła przeraźliwie.

Beth zachichotała nerwowo, ale Jack uciszył ją natychmiast. Bez przeszkód wślizgnęli się do czwartej sypialni, która przylegała do garderoby. Stamtąd niezauważeni przemknęli do korytarza. Tłum gapiów interesował się wyłącznie kompromitującą schadzka Harnella i Aurelii Sapps.

– Jesteś spokojniejsza? – zapytał cicho Jack, gdy szli korytarzem w stronę schodów.

– Niezupełnie, ale nie tylko Aurelia ma ukryte talenty aktorskie. Przyznaję, że nadal jestem wstrząśnięta. Czy widać to po mnie?

Zatrzymał się przed drzwiami gotowalni dla pań, wsunął za ucho ciemny lok i zmierzył Beth taksującym spojrzeniem.

– Wyglądasz ślicznie, ale wejdź tam na chwilę, żeby ochłonać. Mam na ciebie poczekać?

– Nie. Wróć do sypialni i sprawdź, jak radzi sobie Aurelia. Jej ojciec wygląda na apoplektyka. Możesz być potrzebny, żeby poskromić Harnella.

Jack zerknął na gości opuszczających z wolna pokój, gdzie odbyło się skandaliczne przedstawienie.

– Wolałbym nie zostawiać cię samej – wyznał.

– Dzięki, że przybyłeś mi na ratunek – odparła ze łzami w oczach i uśmiechnęła się, nie kryjąc wdzięczności.

– Zawsze do usług – odparł rozpromieniony. – Dla ciebie gotów jestem na wszystko. Musisz o tym pamiętać.

– Prawdziwy z ciebie przyjaciel – szepnęła.

Niewiele brakowało, żeby Jack wyznał Beth miłość, ale zdał sobie sprawę, że dla niej byłoby to takim wstrząsem, jakim dla mego okazało się nazwanie własnych uczuć po imieniu.

Gdy ujrzał innego mężczyznę próbującego zmusić Bethany do uległości, którą z własnej woli tylko jemu gotowa była okazać, uświadomił sobie, jak mocno czuje się z nią związany. Nie chodziło jedynie o to, że wydawała mu się idealną kandydatką na żonę i hrabinę, zdolną pomóc w uporządkowaniu trudnego dziedzictwa. Chyba zawsze ją kochał, a z pewnością nigdy jej nie zapomniał. W duchu przyznał teraz, że w czasie pierwszego spotkania u Randolpów uciechył się ogromnie, dowiedziawszy się, że jest panną i może się o nią starać. Podszedł od razu, nie zwracając uwagi na inne dziewczęta.

Z jego winy sytuacja się skomplikowała. Wkrótce prawda wyjdzie na jaw, musi się więc pospieszyć i jak najszybciej rozkochać w sobie Beth, żeby przystała na ślub.

Dotknęła jego ramienia i ruszyła do pokoju dla dam, gdzie nie mógł za nią wejść.

– Zobaczymy się w salonie – powiedziała na odchodnym.

Jack zawahał się, bo najchętniej przerzuciłby ją przez ramię i uprowadził daleko stąd, może do Gretna Green na szkockiej granicy, gdzie mogliby wziąć ślub, lecz gdyby się na to odważył, nie byłby lepszy od Harnella, który próbował narzucić swoją wolę, nie zważając na uczucia wybranki. Nie, pomyślał Jack. Najpierw trzeba sprawić, żeby mnie pokochała. Na pewno jest na to sposób.

Do końca wieczoru Beth unikała Jacka, choć miała z tego powodu ogromne poczucie winy. Rzucał na nią z daleka przeciągłe spojrzenia, lecz udawała, że tego nie dostrzega. Ilekroć chciał podejść, zaczynała ożywioną rozmowę, a on wycofywał się, nie chcąc przeszkadzać. Zdawała sobie sprawę, że czuje się dotknięty i zawiedziony, ale nie miała pojęcia, co mu powiedzieć, gdy znów będą mogli swobodnie rozmawiać, toteż wołała odwlec ten moment.

Musiała przede wszystkim myśleć o dzieciach, o przyrzeczeniach złożonych im oraz sobie. Na razie wydawało się, że Jack okazuje zrozumienie dla jej filantropijnych zamierzeń, ale mogła się mylić. Gdyby została jego kochanką lub żoną, zapewne domagałby się, aby poświęcała mu więcej czasu, niż była skłonna dla niego przeznaczyć. Jak mogła pozostać dobrą matką dla czworga obcych mu dzieci, a zarazem spełnić wszystkie jego życzenia?

Kiedy goście siedli do kart, Eufemia wzięła ją za rękę i zaprowadziła do pustej bawialni. Baron Goodson był pochłonięty grą i nie zanosilo się na to, żeby szybko wstał od stolika.

– Mów, co cię tak wytrąciło z równowagi – zażądała Eufemia, gdy zostały same.

Beth opadła na niewielką kanapę i opowiedziała o zdarzeniach, które zaszły na górze. Wyznała również, że targają nią sprzeczne uczucia.

– Obawiam się, że jestem zakochana w Jacku, a przecież nie mogę sobie na to pozwolić.

Eufemia słuchała bez słowa, a potem zapytała:



– Co zamierzasz?

– Jeśli zostaniemy w Londynie, nie zobaczę się z nim jutro. Gdyby na wsi zechciał nas odwiedzić, udam, że boli mnie głowa, i zostanę w swoim pokoju. Wystarczy kilka takich afrontów, aby zwrócił się do innej.

– Dlaczego nie wyznasz mu szczerze, jakie są prawdziwe przyczyny twojej odmowy? Po tym, co dzisiaj dla ciebie zrobił, przynajmniej tyle jesteś mu winna – tłumaczyła Eufemia.

– To bezcelowe. Wiem, że zgodzi się na wszystkie warunki. Taki właśnie jest. Obawiam się jednak, że z czasem nabierze do mnie niechęci, bo jestem, jaka jestem, i mam określone zobowiązania – dodała Beth, wypowiadając głośno najgorsze obawy.

– A ja dla miłości zniosę wszystko – zarzekła się Eufemia ze stanowczością, o którą nikt by jej dotąd nie podejrzewał. – Nawet biedę.

– Zapewne, lecz to ostatnie raczej ci nie grozi – odparła drwiąco Beth i natychmiast tego pożałowała. – Wybacz, że stawiam sprawę jasno, ale gdy Colin ożeni się z tobą, zdobędziesz wszystko, czego pragniesz, przestań więc tak ostentacyjnie zabiegać o majątek i tytuł. Powinnaś raczej okazać Colinowi, że darzysz go uczuciem.

– Naprawdę stał mi się bardzo bliski – przekonywała Eufemia. – Nawet gdyby nie miał grosza przy duszy ani żadnych perspektyw, zabiegałabym o jego miłość jeszcze usilniej niż dotąd, lecz nagła zmiana nastawienia wydałaby mu się podejrzana. Szczere wyznanie uznałby za chytry podstęp. Zresztą nie sądzę, żeby kochał mnie równie

mocno, jak ja jego, i chyba zawsze tak będzie. Bawi go moje towarzystwo, nic więcej. Powinnam dać sobie z nim spokój, ale na samą" myśl o tym serce mi się kraje z rozpacz, bo nadal łudzę się, że mamy szansę na prawdziwe szczęście.

– Ach, kuzynko! – Beth przytuliła ją mocno. – Jakoś sobie z tym poradzimy. Nie sądzisz, że czekają nas w tym roku wyjątkowo ponure święta?

– Owszem – przyznała z westchnieniem Eufemia. – Gdy Jack z ciebie zrezygnuje i poszuka innej, Colin także przestanie się mną interesować. Obie skończymy jako stare panny. Wygląda na to, że będę wspierać cię w twoich wysiłkach. Mój skromniutki dochód też się na coś przyda. Możesz nim rozporządzać.

– Co ty mówisz! – zawołała Beth, wstrząśnięta słowami, które były dla niej całkowitym zaskoczeniem. – Nie wolno ci rezygnować z Colina! Przecież go kochasz.

– A ty pokochałaś Jacka – przypomniała ze smutnym uśmiechem Eufemia. – Może na wsi odzyskamy spokój i pogodę ducha. Ty wrócisz do swoich obowiązków i zajmiesz się dziećmi, a ja będę ci pomagać. Na pewno okropnie tęsknią za tobą, zwłaszcza najmłodsze.

Jack na odchodnym przeprosił lorda Marstena. Musiał przerwać rozmowę o parlamencie, bo Colin niemal siłą odciągnął go na bok.

– Zachowujesz się jak ostatni gbur. Co jest takie pilne? – dopytywał się Jack. – Czy coś się stało?

– Dobry Boże! Tak! – Colin wypchnął go do holu. Skinął na lokaja, każąc przynieść kapelusze i płaszcze. – Chodźmy stąd.

– Nie teraz. Zanim wyjdę, chciałbym zamienić słówko z Beth.

– Zaufaj mi, Jack. Mam dla ciebie ważne nowiny. Musisz je poznać, nim ponownie się do niej zbliżysz.

Zaciekawiony Jack ustąpił i ruszył za Colinem, który był tak przejęty, że zapomniał pożegnać się z gospodarzami.

– Co się dzieje? – spytał powtórnie, gdy wsiedli do powozu.

– Musisz być silny, Jack – ostrzegł Colin. – Przynajmniej raz moje podsłuchiwanie na coś się przydało.

– Usłyszałeś na swój temat kilka przykrych słów? – Jack uśmiechnął się krzywo.

Colin westchnął, oparł łokieć na parapecie okienka, a podbródek na dłoni i popatrzył w dal.

– Wręcz przeciwnie. Niektóre fragmenty tamtej rozmowy podniosły mnie na duchu, ale resztę chętnie bym sobie darował.

– Śmiało. Wał, stary. Chodzi o mnie?

– O Bethany. – Colin z groźną miną spojrzał bratu w oczy. – Ona ma dzieci, Jack.

– Idiotyzm! Nigdy nie była mężatką.

– Chciałbym, żeby te słowa okazały się kłamstwem, lecz wygląda na to, że Bethany ma parę bękartów, w tym jedno niemowlę. Oto przyczyna, dla której odmówiła ręki tobie oraz innym konkurentom. Po ślubie mąż z pewnością dowiedziałby się prawdy.

Jack chciał zaprotestować, lecz bezradnie zamknął usta. Po długim milczeniu oznajmił:

– Nie wierzę. Na pewno źle zrozumiałeś.

– Wykluczone – odparł Colin i pokręcił głową.

Jego hipoteza wszystko wyjaśniała: niechęć do małżeństwa, gotowość do łóżkowych igraszek bez ślubu. Jackowi zrobiło się ciężko na sercu. Oddychał z trudem jak po ciężkim wysiłku.

– Przykro mi, braciszku – mruknął Colin, kładąc dłoń na jego ramieniu.

– Mnie tym bardziej – wymamrotał Jack. Beth stanęła mu przed oczyma jak żywa. Roześmiana podczas galopu na drobnej kasztance, gdy ścigali się w parku; zlizująca z warg gorącą czekoladę w modnej kawiarni; powstrzymująca łzy i z uwielbieniem wpatrzona w niego niespełna godzinę temu.

Mało brakowało, aby z żalu sam wybuchnął płaczem.

– Wolałbym nie wiedzieć – powiedział na głos, bardziej do siebie niż do brata. – Dobry Boże, jaka szkoda, że ta sprawa wyszła na jaw.

– Musiałem ci powiedzieć. Co teraz zrobisz? – zapytał Colin, nie kryjąc rozczarowania i współczucia.

– Nie wiem. – Jack ukrył twarz w dłoniach i pokręcił głową. – Naprawdę nie wiem.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Jack popatrzył na wręczone mu przez Colina zaproszenie. Niewiele brakowało, żeby zmiął je w bezsilnej złości. Po wyjeździe Goodsonów spędził w Londynie koszmary tydzień. Uciekł stamtąd najszybciej, jak mógł, ponieważ miasto straciło dla niego urok po wyjeździe Bethany. Od czternastu dni mieszkał w Whitfield Manor i cierpiał męki, ponieważ wiedział, że od jej domu dzieli go zaledwie pięć mil. A teraz na domiar złego otrzymał list pisany na sztywnym czerpanym papierze i głoszący, że baron Goodson wraz z rodziną ma zaszczyt i przyjemność zaprosić obu braci na świąteczny obiad, który odbędzie się jutro.

Wigilia w Whitfield Manor była dniem nudnym i pozbawionym wszelkiego uroku. Keithowie zasiedli do śniadania. Kawa smakowała jak pomyje, a potrawy były mdłe.

– Pojadę – oznajmił Colin. Skrzywił się i odstawił filiżankę. – Na pewno coś wymyślę, żeby cię usprawiedliwić.

– Odpowiesz jako hrabia Whitworth czy damy sobie spokój z tą głupią mistyfikacją? Obawiam się jednak, że Eufemia nie przyjmie cię z otwartymi ramionami, jeśli okażesz się zwykłym śmiertelnikiem. – Jack rzucił zaproszenie bratu, który położył je obok swego nakrycia.

– Radzę ci zajrzeć do gazety. Zachowaj tę kwaśną minę.

Idealnie pasuje do zamieszczonej tam wiadomości. – Podsunął mu londyński dziennik otwarty na czytanej przed chwilą stronie,

wskazał palcem notatkę w efektownej ramce i z jawną determinacją upił kolejny łyk kawy.

– Wielkie nieba! – krzyknął Jack, gdy przeczytał wskazany akapit. Baron Goodson ogłaszał zaręczyny swojej córki, panny Bethany Goodson z lordem Jackiem Macklinem Keithem, dawniej porucznikiem trzynastego pułku dragonów w służbie Jego Królewskiej Mości.

– Goodson podał do prasy wiadomość o zaręczynach i umieścił tam moje imiona, choć udawaliśmy, że chodzi o ciebie. Dlaczego postanowił właśnie teraz dać ogłoszenie? Stracił nadzieję na utytułowanego zięcia?

– Chyba tak. – Colin wzruszył ramionami i westchnął. – Wpadłeś bracie, chyba że Bethany uszanuje waszą umowę i doprowadzi do zerwania. Powinieneś się z nią rozmówić.

Jackowi nagle zrobiło się niedobrze. Pożałował, że pochopnie zjadł śniadanie. Na samą myśl o spotkaniu z Beth ogarnął go niepokój. Czy potrafi stanąć przed nią z kamienną twarzą? Jak odegra scenę zerwania, skoro pragnie jej do szaleństwa?

Zdecydował, że będzie trzymać się od niej z daleka i dotąd wytrwał w tym postanowieniu, lecz ostateczne zerwanie poprzedzone ukartowaną wcześniej kłótnią to zadanie ponad jego siły, bo targał nim prawdziwy gniew. Stracił rozeznanie i nie miał pojęcia, co naprawdę czuje.

Jak mogła żyć tak rozpustnie?

Nie jesteś lepszy, okłamałeś ją, przypomniało sumienie. Półprawdy i niedomówienia nie są tym samym co kłamstwa, uznał w duchu.

Zniweczysz nadzieje brata, jeśli teraz przyznasz się do mistyfikacji, przypomniał wewnętrzny głos.

– Kochasz Eufemię? – Jack zwrócił się do brata.

– Głupie pytanie! Uważasz mnie za kretyna?

– Cholera jasna, naprawdę się w niej zakochałeś – orzekł Jack, jakby Colin miał to wypisane na twarzy. – Sprawdżyły się moje obawy. Należało pierwszego dnia zakończyć tę maskaradę.

Colin wstał, podszedł do okna i spoglądał w dal, ku sąsiedniemu majątkowi, choć nie mógł go dostrzec, bo Goodson House był oddzielony lasem od ich posiadłości.

– Martw się o siebie, braciszku – poradził Colin. – Eufemia Meadows będzie moja. – Popatrzył na Jacka. – Przepraszam cię z góry za wszelkie przykrości, na które w przyszłości będziesz przez to narażony, ale się z nią ożenię. Rzecz jasna, znajdziemy inne lokum...

– Nie! – przerwał Jack. – Zostaniecie! Tu jest teraz nasz dom, mój i twój. Postanowiliśmy dzielić się wszystkim, co mamy. Zawsze sobie pomagaliśmy.

– Nie, Jack. Tym razem muszę liczyć na siebie. Eufemia zawsze przypominałaby ci o Bethany, o utraconym szczęściu i doznany rozczarowaniu. Nie mogę narażać cię na takie cierpienia. – Colin wyszedł z jadalni, nim Jack wymyślił sensowne kontrargumenty.

Rozejrzał się wokół. Whitfield Manor był w opłakanym stanie. Niemal cała służba odeszła, nim bracia Keithowie tu zjechali. Bez wątpienia część ludzi podziękowała za pracę długo przed śmiercią stryja i kuzyna, bo z ksiąg finansowych wynikało, że od pewnego czasu nie wypłacano pensji. Został jedynie głuchy i na wpół ślepy kucharz oraz lokaj starowina, obaj zbyt wiekowi, aby znaleźć nowe posady.

Majątek również podupadł, a okoliczni dzierżawcy bali się nowego hrabiego tak samo jak poprzednika. Jack nie był w stanie ich przekonać, że chce ulżyć doli poddanych i ma na to odpowiednie środki. Umykali tchórzliwie, ilekroć się pojawiał, i odmawiali odpowiedzi na najprostsze pytania.

Księgi finansowe w opłakanym stanie, dom zaniedbany. Jack nie znał się na zarządzaniu wiejską posiadłością. Umiał wydawać rozkazy i egzekwować ich wykonanie, lecz tutaj nie wkładał w to serca. Potrzebował pomocy.

Beth była mu niezbędna. Daremnie tłumaczył sobie, że najlepiej zaangażować dobrego zarządcę i doświadczoną ochmistrzynię, którzy szybko przywrócą staremu domostwu dawną świetność, ale był świadomy, że pragnie czegoś więcej. Znacznie więcej.

Beth jednak powiedziała wyraźnie, że go nie chce. I dobrze, bo odkąd poznał jej przeszłość, również nie chciał mieć z nią do czynienia.

A właściwie dlaczego? W jego głowie znów odezwał się przekorny głos. Otóż to! Miała dzieci. I co z tego? Jakim prawem



wyrzucał jej, że wzięła sobie kochanka, skoro przez te wszystkie lata sam zadawał się z tyloma kobietami, że ledwie potrafił je zliczyć? A jeśli adoratorów było więcej? Po raz setny zastanawiał się nad tym. Co najmniej dwóch... Przez trzy tygodnie zadreślał się tą myślą. Kim byli? Czyżby kochała, a łotr ją porzucił? Może paru łotrów?

Dzielna, rozsądna Beth. Kto oprócz mego poznał jej wrażliwą naturę? Kto jak on obudził ukrytą zmysłowość? Nic dziwnego, że nie chciała wyjść za mąż. Zawiodła się na mężczyznach i traktowała ich nieufnie.

Jack dziękował niebiosom, że nareszcie przestał zaprzętać sobie głowę macierzyństwem Beth. Nadal ją kochał. Bardzo jej pragnął. Brakowało mu jej pogody ducha, poczucia humoru, radosnego śmiechu, żywiołowej namiętności. Wcale nie kryła się z tym, że go pożąda. Bała się tylko wspomnieć o swojej przeszłości.

Gdyby oznajmił, że wie o dawnych błędach, lecz nie przywiązuje do nich wagi, bo nie mają wpływu na jego uczucia względem niej, może zgodziłaby się na ślub. Pełna obaw przed groźbą skandalu i ujawnieniem sekretu niewątpliwie z wdzięcznością przyjęłaby jego propozycję, a baron nie posiadałby się z radości na wieść o tytule.

Na schodach minął się z Colinem, gdy pędził na górę, żeby włożyć strój do konnej jazdy.

– Muszę się z nią zobaczyć.

– Teraz? – zapytał Colin, odwracając się i biegnąc za nim. U szczytu schodów chwycił go za ramię i gwałtownie obrócił. Stanęli

twarzą w twarz. – Zastanów się, co robisz. To poważna decyzja. Jesteś pewny...

Jack wyrwał ramię i bez słowa pobiegł do sypialni.

– Chwileczkę! Porozmawiajmy spokojnie! – Colin nie dawał za wygraną, deptając bratu po piętach. Nie zniechęciły go nawet drzwi zatrzaśnięte mu tuż przed nosem.

Jack pospiesznie wciągnął buty do konnej jazdy, zdjął poranny surdut i włożył tweedową kurtkę. Przeganiał dłonią włosy i wcisnął kapelusz na głowę. Spieszył się, żeby wyruszyć, nim znowu opadną go wątpliwości.

Pognał do stajni, osiodłał konia, wskoczył mu na grzbiet i pogalopował do Goodson House.

Przywitała go gospodyni, miła pulchna kobiecina o szerokim uśmiechu i ciekawskim spojrzeniu.

– Chciałbym... Mogę się widzieć z panną Goodson? –zapytał.

– Nie ma jej tu – odparła. – Coś mi się zdaje, że jest teraz z dziećmi. Spędza z nimi każdą sobotę.

– Gdzie? – rzucił zniecierpliwiony, nie bacząc, że gospodyni spochmurniała, słysząc ostry ton. Przycisnęła dłoń do ust i obawiał się, że nic już z niej nie wyciągnie. Ponad jego ramieniem spojrzała na drogę prowadzącą do wsi i odparła:

– W domku, proszę pana.

– Który to? – burknął, spoglądając w tę samą stronę.

– Drugi za mostem – wyjaśniła. – Pewnikiem zobaczy pan tam niebieski powozik zaprzężony w kucyka.

Jack obrócił się na pięcie, zbiegł po schodach i dosiadł konia.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego baron chowa wnuczeta w wiejskim domku, choć powinny zostać umieszczone we dworze. Niech diabli porwą tego zarozumialca z jego pychą i strachem przed kompromitacją. Małeństwa nie są winne, że przyszły na świat. Obiecał sobie, że dopilnuje, aby w Whitfield Manor czuły się zawsze jak u siebie w domu, inaczej niż on i Colin przez całe swoje dzieciństwo. Dzieci powinny być otoczone serdeczną troską i hołubione przez dorosłych. Potrzebują miłości. Miał pewność, że Beth je kocha, ale to nie wszystko.

Spostrzegł błękitny powozik stojący obok uroczego domku krytego strzechą. Dorodny szary kucyk uwolniony z uprzęży dreptał po ogrodzie, leniwie skubiąc trawę. Jack zeskoczył z konia i przywiązał go do młodego drzewa.

Gdy dotarł na miejsce, pałaca niecierpliwość z wolna go opuściła, by w końcu zniknąć. Zza drzwi dobiegał głośny płacz i cienkie głosiki domagające się zainteresowania.

– Mama, mama! Teraz ja, ja! Mama! – usłyszał krzyk jednego z dzieci. Na miłość boską, ile ich jest?

Podszedł do drzwi i śmiało pchnął je, uznawszy, że Beth potrzebuje pomocy. Szkoda czasu na pukanie. Nawet piorun trudno usłyszeć w tym zgiełku.

– Beth! – zawołał, przekrzykując dzieciarnię.

Siedziała w kucki przy kołysce, z której wystawały tłusciutkie ramionka i wierzgające nóżki. Twarzyczki prawie nie widział, bo uwagę przyciągała szeroko otwarta buzia.

– Jack! – zawołała Beth, ale jej głos utonął w ogólnym wrzasku.

Otaczała ją trójka dzieci domagających się natychmiastowej uwagi. Najstarsze miało ponad cztery lata. Maleństwu w kołysce Jack dał najwyżej rok, choć nie założyłby się o to, ponieważ mało wiedział o takich maluchach i w swoich ocenach bazował na własnych wspomnieniach z dzieciństwa.

Jednak cały ten drobiazg to mali ludzie, a z bliźniami zazwyczaj doskonale sobie radził, więc śmiało wziął na ręce najmłodszą z istotek stojących przy kołysce i posadził na ramieniu, a potem łagodnie odciągnął na bok najstarszą pociechę.

Beth wpatrywała się w niego jak urzeczona. A może była tylko wystraszona? Machinalnie przytuliła trzecie dziecko i pogłaskała maleństwo w kołysce.

– Co ty tutaj robisz? – zapytała. Jack odczytał słowa z ruchu warg.

– Chciałem ci powiedzieć, że wiem... Auuu! – Maleńkie półdiabłą przytulone do ramienia, nie zważając na wysoki kołnierzyk, zatopilo zębki w jego szyi. Ułożył inaczej słodki ciężar, żeby uniknąć kolejnego ukąszenia. – To się nie liczy! – zawołał do Beth. – Wszyscy popełniamy błędy.

Kędzierzawa dziewczynka, którą trzymał za rękę, kopnęła go w łydkę. Twarda skórzana podeszwa trzewika uderzyła w cholewkę buta do konnej jazdy.

– Przestań! – nakazał małej, która wykrzywiła buzię i wybuchnęła głośnym płaczem, idąc w zawody z maleństwem w kołysce.

– Wszystkie są...

– Moje – przytaknęła Beth. – Oczywiście.

– Cholera jasna! – wymamrotał.

– Jak śmiesz kłąć w obecności moich dzieci! – skarciła go, podnosząc głos, a zatroskanie na jej twarzy ustąpiło miejsca wściekłości.

– Nie łudź się, że cokolwiek usłyszą w tym zgiełku – odparł, podrzucając dziecko trzymane na rękę. Łudził się, że szybki ruch zadziwi pędraka i skłoni do zamknięcia buzi. Daremne nadzieje.

– Trzeba je uciszyć! – wrzasnął, spoglądając na Beth. – Musimy porozmawiać.

– Jak sobie życzysz – odparła drwiąco i uniosła rękę. – Daj Mary trochę mleka. Tam stoi. – Wskazała półkę na ścianie w głębi izby.

Zastanawiał się, o które z dzieci jej chodzi. Mary gryzie czy kopie? Mniejsza z tym, trzeba wziąć się do roboty. Postawił małą na podłodze obok ryczącej siostry i znalazł dwa kubki. Gdy chwycił dzbanek, dwa mocne ramionka zacisnęły się wokół jego kolana. Mleko rozprysło się po całej izbie, a najwięcej wylądowało na główce jednego z nieustępliwych dzieciaków, sporo na butach do konnej jazdy.

Łkanie umilkło. Dziewczynka podskakiwała w mlecznej kałuży, spoglądając na niego wielkimi błękitnymi oczętami. Z rzęs kapały białe krople.

Beth wybuchnęła śmiechem. Wzięła się pod boki i śmiała się tak głośno, że dzieciaki zapatrzyły się na nią i natychmiast zapomniały o niedawnych troskach.

– Beth, dobrze się czujesz? – spytał Jack nazbyt donośnym głosem. Po niefortunnym wypadku z mlekiem w domku zapanowała względna cisza. Obawiał się na serio, że biedna dziewczyna nagle postradała zmysły.

Beth opanowała niewczesną wesołość na tyle, żeby kiwnąć głową.

– Bądź łaskaw wytrzeć Martę. Zaraz ją umyję i przebiorę. Mary, chodź do mnie, skarbie.

Dziecko rozdające kopniaki przydreptało posłusznie. Gdy pulchne ramionka otoczyły szyję Beth, na jej twarzy pojawił się matczyzny uśmiech, a zafascynowany Jack zapomniał o swoim zadaniu.

Szybko wrócił do rzeczywistości, znalazł ręcznik wiszący na haczyku i przykucnął, żeby wytrzeć główkę maleństwa, które uśmiechnęło się do niego, pokazując białe, równe ząbki

I zlizując językiem krople mleka z policzków i brody. Łapki o uroczych dołeczkach taplały się w białej kałuży.

– Ty jesteś Marta, prawda? – zagadnął niefrasobliwie Jack. – Witaj, maleńka.

Marta zachichotała, wyraźnie uradowana, że jest przemoczona do suchej nitki, a wyciera ją zupełnie obcy człowiek.

Jack starannie osuszył głowę i ramionka, a potem zostawił Martę w kałuży mleka, w którym zanurzała drobne paluszki.

Beth zdołała wreszcie oderwać się od reszty maluchów, podeszła do dziewczynki i podniosła ją z podłogi. Zafascynowany Jack patrzył, jak sprawnie rozbiera ją i umieszcza w drewnianej wanience, do połowy napelnionej wodą.

– Druga kąpiel w ciągu godziny – wyjaśniła. – Nasza niania poszła z wizytą do siostry. Ma chwilę wytchnienia.

– Chyba zasłużyła na odpoczynek – zauważył Jack nieco zgryźliwie. – A ty? Dasz sobie radę bez pomocy?

– Naturalnie. Darcy wróci za niespełną godzinę. Nie musisz ze mną siedzieć.

Niemowlę w kołysce leżało spokojnie, mlaskając cicho. Jack popatrzył na Mary, specjalistkę od kopniaków, która stała na łóżku i wskazywała rączką okno.

– Wolno jej tam wchodzić? Nie spadnie?

– Ależ skąd. Wierz mi, te maluchy są zwinne jak młode kózki – zapewniła, nie patrząc nawet w tamtą stronę. Błyskawicznie wycierała Martę.

Westchnął głęboko. Szkoda, że nie mogą spokojnie się rozmówić, ale w tej sytuacji nie oczekiwał, że poświęci mu całą uwagę.

– Od pewnego czasu wiem o dzieciach. U Marstonów Colin słyszał przypadkowo twoją rozmowę z Eufemią. Doszedłem do wniosku, że potrzebujesz męża równie desperacko, jak ja żony, może nawet bardziej. Zapewne wiesz, że nasze zaręczyny zostały ogłoszone w gazecie.

– O tak! Byłam wstrząśnięta. Najwyraźniej ojciec jest bardziej zdeterminowany, niż mi się wydawało.

– Moim zdaniem powinniśmy się pobrać.

– Czyżby? – zapytała. – Zawarliśmy porozumienie, Jack. Mamy plan i powinniśmy się go trzymać. Odwiedź nas jutro, a doprowadzimy go do końca.

– Beth, musisz być rozsądna. Masz czworo dzieci. Chcesz, żeby wychowywały się bez ojca? Nawiasem mówiąc, gdzie jest człowiek, który je spłodził? Odzywa się?

– Nie mam pojęcia, co robi, i nic mnie to nie obchodzi. Porzucił własne dzieci, więc stracił prawo, by nazywać się ich ojcem!

Jack najchętniej zatłukłby szubrawca, który skrzywdził Beth. W głębi ducha przyznał, że jest o niego zazdrosny.

Niespodziewanie usłyszał stłumiony łoskot, a potem głośny krzyk. Rzucił się w drugi koniec izby, wziął na ręce zapłakaną istotkę, mocno przytulił i pogłaskał drgające od szlochów plecki.

– Już dobrze, dobrze. Nic się nie stało, prawda? Dywanik cię ochronił. Cicho, nie płacz, słodczko. Co cię boli? Główka? – Przesunął dłonią po ciemnych loczkach i wyczuł rosnącego guza. – Nic poważnego, naprawdę. Więcej strachu niż bólu, co?



Ku jego ogromnemu zdziwieniu dziecko uspokoiło się natychmiast i wtulone w niego znieruchomiało, siedząc na biodrze jak małpka.

Ze wzruszenia wstrzymał oddech, a serce wypełniła mu radość. Poradził sobie. Może być ojcem. Dotarło do niego, że będzie nim wkrótce, jeśli Beth zgodzi się na ślub, ponieważ stanie się odpowiedzialny za jej dzieci. Niebieskooka Mary siedziała na łóżku i wpatrywała się w niego, ssąc paluszek ślicznymi różowymi usteczkami. Marta, wielbicielka kałuż, trzymała się kurczowo maminej spódnicy. Nie znał imienia dziecinki, która ufnie przyłgnęła do niego. Popatrzył na kołyskę, gdzie leżało najmłodsze stworzonko, jeszcze za małe, żeby chodzić. Spało, zmęczone długim płaczem.

Beth podeszła bliżej i przechylając głowę na bok, zmrużonymi oczyma obserwowała Jacka, gdy kołysał spłakane maleństwo. Po chwili wzięła na ręce Martę i posadziła ją na łóżku, a następnie wyciągnęła ramiona, żeby wziąć od niego kolejną pociechę.

– Idź już – powiedziała cicho. – Powinny spać.

– Jak ma na imię? – zapytał, machinalnie głaszcząc raz jeszcze ciemną główkę.

– Diana – odparła. – Czemu pytasz?

– Z ciekawości. – Wzruszył ramionami i uśmiechnął się. – Ma twoje włosy.

Beth zachowała kamienną twarz.

– A reszta? Widzisz podobieństwo? Jack popatrzył na Mary.

– Jej usta przypominają twoje. Marta podobnie się śmieje i ma oczy tego samego koloru. Tak, wszystkie są do ciebie bardzo podobne. I prześliczne, cała czwórka.

Popatrzyła mu w oczy, ale nie potrafił niczego z nich wyczytać.

– Wracaj do domu, Jack – powiedziała cicho. – Zostaw nas teraz. Zobaczymy się jutro. Przyjedziesz do nas z Colinem, prawda?

– Naturalnie. – Kiwnął głową i ruszył ku drzwiom. – A więc do jutra.

– Nie zapomnij o naszej umowie – dodała. Gdy chciał zaprotestować, uciszyła go wymownym gestem: – Potem możemy zostać przyjaciółmi, bardzo bliskimi, jeśli zechcesz.

Doskonale wiedział, o co jej chodzi, lecz nie zamierzał się zadowolić przywilejami kochanka. Już tego próbowała i w rezultacie urodziła czworo dzieci, które musi wychowywać w tajemnicy. Bezsensowna niechęć do małżeństwa przyniosła jej same zgryzoty, ale Jack potrafił w krótkim czasie wszystko naprawić.

– Muszę ci coś wyznać – powiedział na odchodnym, bo miał nadzieję, że nowiny o tytule i majątku zmienią nastawienie Beth, a z pewnością nie zaszkodzą mu w jej oczach, skoro i tak uparcie wzbraniała się go poślubić. Z wyznania był jeden pożytek: nie będą ich już dzielić żadne kłamstwa.

Niemowlę zaczęło się znowu wiercić i marudzić.

– Jutro porozmawiamy, a teraz odejdz, proszę. Zgoda, nie ma pośpiechu, uznał.

– W takim razie do widzenia. – Pomachał Mary i Marcie, które siedziały na łóżku wpatrzone w niego jak w obraz. Mary pomachała rączką i natychmiast wsadziła paluszek do buzi. Jack wyciągnął z rękawa ostatniego asa.

– Kocham cię – powiedział do Beth, cmoknął ją w usta i pobiegł do drzwi. Usłyszał, że wciągnęła głośno powietrze i wstrzymała oddech, ale nie powiedziała ani słowa.

Opuścił chatę, zostawiając ją z dziećmi, lecz obiecał sobie, że wkrótce będą się nimi zajmować we dwoje.

Ledwie drzwi zamknęły się za Jackiem, Beth zacisnęła powieki i westchnęła głęboko. Dobry Boże, to się w głowie nie mieści! Z trudem uświadomiła sobie, co tu przed chwilą zaszło. Gwałtowne i sprzeczne odczucia wyczerpały ją bardziej niż wrzask czworga rozrabiających dzieci.

Była wściekła. Omal nie prychała ze złości. Jack naprawdę był przekonany, że wzięła sobie do łóżka mężczyznę i rok po roku wydawała na świat jego bękarty. Niech diabli porwą tego Keitha wraz z jego protekcyjną troskliwością!

Z nim rzeczywiście chciałaś pójść do łóżka, przypomniało natrętne sumienie,

– Tak, lecz go kocham – powiedziała na głos. Zgoda, ale nie miał o tym pojęcia. Pamiętał tylko, jak ochoczo chciała zostać jego kochanką, i wyciągnął odpowiednie wnioski.

Prócz gniewu czuła także ulgę, ponieważ obawiała się, że więcej nie zobaczy Jacka. Mimo obietnicy nie odwiedził ich w Londynie. To

jasne, że wolał trzymać się od niej z daleka, gdy usłyszał nowinę o dzieciach. Ale w końcu przyszedł i nalegał, żeby potraktowali poważnie udawane zaręczyny, bo chciał bronić jej dobrego imienia. Czyżby sądził, że można w krótkim czasie urodzić czworo dzieci i zachować rzecz w tajemnicy? Jeśli tak, był ogromnie naiwny.

I taki miły. Oznajmił nawet, że ją kocha. Oczywiście wiedziała, że to nieprawda. Był do niej przywiązany, uważał za serdeczną przyjaciółkę, ale to nie była miłość. Gdyby istotnie uznał ją za kobietę swego życia, posiadłby ją na pewno, kiedy w Londynie chciała mu się oddać. Ale wstrzymał się, bo nie wzbudziła w nim namiętności. Był po prostu dobrym, szlachetnym człowiekiem, który nie bacząc na okoliczności, uznał za swoją powinność ocalić ponownie jej reputację, jak to uczynił wcześniej, gdy uratował ją przed Harellem.

Wszyscy mieszkańcy hrabstwa wiedzieli, że Beth wzięła na wychowanie dzieci nieszczęsnej Lily Nesmith, którą mąż ladaco porzucił, gdy po raz czwarty była w odmiennym stanie. Po wydaniu na świat małej Debory umierająca Lily błagała przyjaciółkę, żeby się zajęła sierotami, ta zaś była tak przywiązana do jej maleństw, że nie mogła odmówić.

Gdyby Beth wierzyła, że Jack kocha ją choć w połowie tak mocno, jak ona jego, niewątpliwie zmieniłaby zdanie. W przyszłym tygodniu miała odziedziczyć spadek, a więc mogłaby również zmienić poglądy na życie, zaufać Jackowi i uwierzyć, że zaopiekuje się należycie jej przybranymi córeczkami.

Były dzisiaj nieznośne, a jednak wydawał się nimi zachwycony. Okazał im wiele czułości. Kto by pomyślał, że były żołnierz jest do tego zdolny?

Eufemia wpadła do izby jak burza.

– Widziałam Jacka na drodze prowadzącej z wioski. Minął dom. Był tutaj?

– Owszem – przyznała krótko Beth. Nie chciała opowiadać o wizycie ani ujawniać swoich odczuć. – Widziałaś się z Colinem?

– Nie – odparła Eufemia, łamiąc rękę. – Od dwóch tygodni obaj są w Whitfield Manor. Trudno mi pojąć, dlaczego nas nie odwiedził. Wiem, wiem! Niedawno mówiłam, że jestem gotowa z niego zrezygnować, ale straszliwie tęsknię. Tobie nie brakuje Jacka?

– Owszem, ale sytuacja jest patowa. – Beth westchnęła ciężko. – Jutro spotkasz się z Colinem, gdy przyjedzie na świąteczny obiad.

– Złożą nam wizytę? – Eufemia omal nie podskoczyła z radości. – Jack obiecał, że będą?

– Tak powiedział, więc biegnij do domu i pomyśl, w co się wystroisz. Niedługo przyjdę.

Beth potrzebowała czasu, żeby się zastanowić, jak zerwać zaręczyny, żeby ta decyzja dla wszystkich była przekonująca. Ciekawe, czy owo przedstawienie przypadnie do gustu pastorowi, burmistrzowi, dziedzicowi z sąsiedniego majątku oraz ich żonom. Czy ojciec zdoła w końcu pojąć, co nią kieruje?

Ostatnio nazywał Jacka przyszłym zięciem, choć ten zniknął z horyzontu. Ogłoszenie sygnowane przez papę zostało opublikowane w

londyńskiej gazecie, ale Beth dowiedziała się o tym po fakcie. Zapewne papa stracił do niej cierpliwość, gdy oficjalnie zapowiedziano rychły ślub lorda Harnella z Aurelią Sapps.

Beth nie chciała wszczynać kłótni, bo miała poważniejszy problem. Jack niepostrzeżenie skradł jej serce.

RS

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Dzień Bożego Narodzenia był chłodny i dżdżysty. I dobrze, ponieważ od samego rana Beth miała fatalny humor. Najchętniej płakałaby ze złości. Przez całą noc nie zmrużyła oka, próbując sobie wyobrazić, jak rzuca Jackowi w twarz wyimaginowane zarzuty i zrywa zaręczyny, ale za każdym razem owa scena kończyła się tym, że brał ją w ramiona i wielkodusznie wybaczał przewinienia, które w oczach innych uchodziły za kompromitujące.

Nie pochłonęły jej przygotowania do świątecznego obiadu. Włączyła się w nie bez entuzjazmu. Nawet radość córeczek, które zostały przewiezione do dworu, nie pomogła jej otrząsnąć się z przygnębienia. Baron Goodson nalegał, żeby umieszczono je w nieużywanym od lat pokoju dzieciennym. Beth krótko się tym cieszyła, bo znów opadły ją czarne myśli. No cóż, dobre i to, że pół roku po fakcie zechciał przyjąć do wiadomości decyzję córki o adoptowaniu dziewczynek. Dotąd uważał, że to przelotny kaprys. Co dziwniejsze, nawet matka raczyła wyjść dzieciom na spotkanie i przywitała je w nowym domu.

Większość gości od godziny była już w Goodson House. Zachwycali się ciepłem i przyjazną atmosferą domu wspaniale ozdobionego świątecznymi dekoracjami. Nad kominkami wisiały girlandy z ostrokrzewu, bluszczu oraz innych roślin. Opleciono nimi także balustrady schodów i świeczniki. Wielki gwiazdkowy pień tlił się na palenisku, a w powietrzu czuło się woń cynamonu oraz gałki

muszkatołowej. Zbliżała się pora obiadu, a braci Keithów wciąż nie było.

– Nareszcie! Przyjechali! – zawołała Eufemia, wyglądając przez okno, z którego było widać kolisty podjazd. Dała Beth lekkiego kuksańca. – A już się bałam, że zmienili zdanie. Strasznie się guzdrali. Pobiegniemy do drzwi, żeby ich powitać?

– Stój! – rozkazała Beth. Nie zamierzała ruszać się od fortepianu. Dotknęła klawiszy, cicho zagrała kolędę i popatrzyła kuzynce prosto w oczy. – Okaż trochę powściągliwości, Eufemio. I nie wstrzymuj oddechu, jeśli łaska, bo suknia ci pęknie.

– Zazdrościsz, bo nie masz się czym pochwalić – drwiła przyjaźnie Eufemia. – Wyprostuj się. Już idą.

Keithowie przywitali się pospiesznie z innymi gośćmi i podeszli do panien. Colin był pierwszy. Skinął głową Beth i natychmiast zwrócił się do Eufemii. Odeszli na bok, żeby spokojnie porozmawiać, a Beth została sama z Jackiem.

– Pięknie grasz – powiedział, opierając się łokciem o pudło instrumentu. – Śpiewasz?

– Nie najlepiej – przyznała. – A ty?

– Skrzeczę jak żaba w stawie. Chcesz posłuchać?

Beth wybuchnęła śmiechem i poprzestała na pierwszej zwrotce kolędy. Nie mogła skupić się na grze.

– Nie, dziękuję. Wystraszysz nam gości. Byłabym niepocieszona, gdyby w taką pogodę umknęli do domu, nie pokrzepiwszy się wcześniej smacznym jedzeniem.



W tym momencie lokaj oznajmił, że podano do stołu. Beth wstała, a Jack ujął jej dłoń i zamiast cmoknąć ustami powietrze złożył prawdziwy pocałunek. Nikt się na to nie krzywił, ponieważ byli zaręczeni. Wszyscy czytali ogłoszenie w gazecie. Wiedziano, że Jack rzeczywiście oświadczył się Beth, a ona formalnie go przyjęła.

– Jak dzieci? – zapytał, gdy szli do jadalni. – Są tutaj?

– Zostały z Darcy na górze. – Beth odwróciła wzrok. – Ojciec uznał, że w domku jest za zimno, a temperatura wciąż spada.

– Cieszy mnie, że okazał współczucie, zwłaszcza że to jego wnuczki. Czy później niania sprowadzi je na dół?

Dziwne pytanie. Beth nie rozumiała, o co mu chodzi.

– Ależ skąd! Po co miałyby je tu zabierać?

– Dlaczego nie? Chciałbym im dożyć życzenia i wręczyć prezenty. Mam dla nich rozmaite błyskotki i mnóstwo słodczy.

O co mu chodzi?

– Miło z twojej strony, ale takie maleństwa powinny zostać w pokoju dzieciennym.

– Aha! Gdyby pojawiły się w salonie, wasi goście zapewne byliby zbici z tropu. Słusznie domyślam się, że o nich nie wiedzą? – Powiódł spojrzeniem po twarzach zgromadzonych przy stole biesiadników. Pastor Dunn, dziedzic McFaddin, burmistrz Tanner oraz szanowne małżonki.

Beth cierpliwie słuchała uwag Jacka, który nie miał pojęcia, w jakich okolicznościach przyszły na świat jej córeczki.

– Wręcz przeciwnie. Całe sąsiedztwo wie, że są moje.

– W takim razie czemu je ukrywasz? To śliczne dzieciaki. – Jego słowa zabrzmiały niczym wyzwanie.

– Na dodatek wyjątkowo grzeczne i potulne – dodała Beth, ironicznie unosząc brwi.

Jack nie wybuchnął śmiechem, choć tego oczekiwała.

– Każ je przyprowadzić. Dobrze pamiętam, że Colina i mnie chowano przed gośćmi. Sama widzisz, że takie postępowanie stryjostwa zostawiło w nas trwałe ślad.

Beth spochmurniała, uświadomiwszy sobie, że nie miał szczęśliwego dzieciństwa. W jej wspomnieniach stary Whitworth pozostał człowiekiem niezbyt sympatycznym, a jego żona stale narzekała.

– Nie martw się. Dziewczynki są za małe, żeby czuły się poniżone i postponowane.

Jack milczał, ale zacisnął usta i odwrócił wzrok.

– No, dobrze – ustąpiła. – Każę Darcy ubrać je odświętnie i po deserze sprowadzić na dół. Ale ostrzegam, jeśli śpią, nic z tego nie będzie. Sam widziałeś, co się dzieje, gdy brak im popołudniowej drzemki. – Zatrzymała się na moment, żeby wydać lokajowi polecenie, i odprowadziła go wzrokiem, gdy pobiegł na górę przekazać je niani.

Jack ścisnął jej dłoń, a twarz mu się wypogodziła. Radosna mina była dla Beth najlepszą zapłatą za wszelkie uciążliwości, które mogła spowodować osobliwa prośba. Nie rozumiała, czemu tak nalegał, lecz nagle poweselała ogarnięta prawdziwie świątecznym nastrojem.

Jack byłby wspaniałym ojcem! Szkoda, że jej nie kocha. A może jednak? Czyżby wczoraj mówił szczerze?

Świąteczny obiad był udany, choć Beth jadła niewiele. Rozmawiała tylko z Jackiem, inni goście w ogóle ich nie zagadywali. Dopiero przy deserze baron Goodson podniósł się z krzesła i widelcem zastukał w kieliszek, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

– Wznoszę toast – oznajmił. – Zdrowie mojej córki oraz jej narzeczonego, lorda Jacka, naszego sąsiada z Whitfield. Wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia!

– Tak! Tak! – Goście wznoszący radosne okrzyki powstali i sięgnęli po kieliszki.

Bethany rzuciła Jackowi znaczące spojrzenie, pochyliła się w jego stronę i szepnęła:

– Musimy wkrótce zerwać zaręczyny. Jesteś gotowy? Jack uśmiechnął się tylko.

– Jeśli nie mają państwo nic przeciwko temu, oddalimy się na chwilę. Wkrótce przejdziemy do salonu i dołączymy do naszych dam.

Pani domu wymamrotała kilka słów oznaczających zgodę. Panie miały teraz czas, by pójść na górę i odświeżyć się nieco, a panowie udali się do palarni oraz innych pomieszczeń. Beth zdecydowała, że wkrótce zaaranżuje w salonie dramatyczną scenę.

Była przerażona. Czy zdoła odegrać atak wściekłości i obrzucić Jacka oskarżeniami? Nie była pewna, czy odpowie jej tym samym, czy skłoni się z godnością i odejdzie w siną dal. Jakiego użyć pretekstu, aby zerwać definitywnie? Szczerze mówiąc, nie przychodził

jej do głowy żaden powód uniemożliwiający ich małżeństwo. Poza jednym, a mianowicie, że Jack jej nie kocha, lecz tym argumentem nie mogła się posłużyć. Wśród zaproszonych nie było ani jednej pary, która pobrałaby się z miłości. Trzeba dopracować nasz dramacik, uznała ogarnięta paniką.

Pobiegła do gotowalni na pierwszym piętrze i odświeżyła się. Wkrótce była już w salonie. Dżentelmeni spragnieni damskiego towarzystwa darowali sobie popołudniowe cygara i przyłączyli się do czekających pań, zanim opracowała szczegółowy plan działania.

Jack natychmiast do niej podszedł.

– Twój ojciec wspomniał, że chce, aby ślub i wesele odbyły się w dzień Bożego Narodzenia – oznajmił, wyraźnie ubawiony tym pomysłem.

– Aha, roczne narzeczeństwo – odparła z ulgą. Miała zatem mnóstwo czasu, żeby wymyślić sensowny pretekst i doprowadzić do zerwania.

Jack roześmiał się cicho i musnął wargami jej ucho.

– Nie. Wydaje mi się, że twój ojciec życzy sobie, aby pastor dziś nas połączył.

Odsunęła się i spojrzała na niego z przerażeniem.

– Jak to dziś? Ale... To niemożliwie, gdybyśmy nawet przystali na szybki ślub. Zapowiedzi...

– Już były. Nie poszliśmy do kościoła, a szkoda.

– Bałam się, że ciebie... – Zasłoniła usta dłonią, ale zrozumiał, choć przerwała. Opuściła dzisiejsze nabożeństwo z obawy, że on tam będzie.

– Twój ojciec działa szybko. Ogłoszenie w gazecie, zapowiedzi w miejscowym kościele. Pomyślał o wszystkim. Zaprosił też gości, którzy będą świadkami.

– A urzędowe dokumenty? – odparła buntowniczo.

– Wystawi je, kiedy zechce. On tu reprezentuje władzę.

– Racja.

Jack przesunął palcami po wewnętrznej stronie jej ramienia. Grzbiet dłoni musnął pierś. Nikt tego nie widział, ale Beth splonęła rumieńcem.

– Przestań – szepnęła. – Co ty wyprawiasz? Mam cię spoliczkować i natychmiast zerwać zaręczyny?

– Sama decyduj. Na twoim miejscu wykorzystałbym taki pretekst. Wyjdź za mnie, Beth. Pobierzmy się dzisiaj.

– Proponujesz małżeństwo, bo chcesz uratować moją reputację.

– Westchnęła z irytacją. – Zapewniam cię, że nie musisz się poświęcać, bo moja dobra sława wcale nie ucierpiała. Przestań się ze mną droczyć!

Jack mocno objął ją w talii, więc odskoczyła.

– Dość tego! Pan się zapomina! – zawołała głośniej, niż jej się wydawało. Rozmowy przycichły.

Teraz albo nigdy!

– Miałabym poślubić człowieka, który nie liczy się z moim zdaniem? Nie ma mowy! – zawołała, improwizując. Nie wiedziała, jak zabrzmiała następna kwestia. Widzowie patrzyli na nich jak urzeczeni.

– Beth, najdroższa – odparł Jack tak głośno, żeby wszyscy go usłyszeli. – Doskonale wiesz, że każde twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. Musisz je tylko wypowiedzieć.

– Ale ja... – zająknęła się i sięgnęła po pierwszy argument, który jej przyszedł do głowy. – Nie zamieszkałam w Londynie. Od dawna ci to powtarzam. Nienawidzę tego miasta! Mów, co chcesz, ale odmawiam przeprowadzki. Sam sobie jedź! Jeśli marzy ci się miejskie życie, zrywam zaręczyny.

Pochylił głowę i uśmiechnął się szeroko.

– Nie mówiłem tego poważnie, moja droga. Rozwahałem tylko rozmaite możliwości. Szczerze mówiąc, ja również wolę żyć na wsi. A więc postanowione.

Beth desperacko szukała innego pretekstu.

– Ale... Na pewno odmówisz, gdy poproszę, żeby dzieci zamieszkały z nami. Oświadczam, że z nich nie zrezygnuję.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – Jack wybuchnął śmiechem. – Gdzie miałyby zamieszkać? Ich miejsce jest w naszym domu.

Beth kątem oka zobaczyła Darcy stojącą z dziećmi w drzwiach salonu. Podobnie jak goście, niania i dziewczynki z ciekawością przysłuchiwały się kłótni narzeczonych. Mary zostawiła Darcy i śmiało pobiegła w ich stronę.

Jack porwał małą na ręce i połaskotał pod brodą. Skinął na nianię i wyznaczoną do pomocy służącą, każąc im podejść bliżej.

– Obawiasz się, że nie uznam tych maleństw? Spójrz na brewki Mary. Całkiem jak moje! Uderzające podobieństwo. A Marta... – Wolną ręką pogłaskał główkę dziewczynki. – U niej widzę rysy nas obojga.

– Jack! – Beth z trudem opanowała śmiech. Wszyscy goście gapili się na nich z otwartymi ustami, bo próbował im wmówić, że to jego dzieci urodzone przez Beth. Na miłość boską, trzeba natychmiast wyjaśnić nieporozumienie.

– Jack, nic nie rozumiesz...

Nie dał jej dojść do słowa.

– Najwyższy czas, żebyś wyzbyła się obsesyjnej niechęci do małżeństwa i pozwoliła mi wychowywać moje pociechy. Jeśli inne powody skłaniające zwykłych ludzi do ślubu nie są dla ciebie ważne, uszanuj przynajmniej uroczyste zapewnienie złożone podczas naszych zaręczyn i jak najszybciej zostań moją żoną. Bardzo proszę.

Beth uznała, że zasłużył na porządną nauczkę, i postanowiła się zgodzić. Już ona mu pokaże!

– Doskonale. – Wyniośle kiwnęła głową. – Czy pastor jest gotowy?

Podeksytowani goście zaczęli szeptać między sobą. Dały się słyszeć radosne wybuchy śmiechu. Ojciec Beth promieniał, matka miała zadowolą minę. Eufemia usiadła przy fortepianie i zaczęła grać skoczną pieśń, niezbyt pasującą do ślubnej ceremonii. Colin śpiewał,

falszując niemiłosiernie Mary klaskała i wtórowała mu głośno, wymyślając na poczekaniu własne słowa, a reszta dzieciaków darła się wniebogłosy, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

Nie była to uroczysta ceremonia. Pastor musiał krzyczeć, żeby go usłyszano Jack wybuchnął gromkim śmiechem, gdy Beth umyślnie opuściła w przysiędze małżeńskiej wyraz „posłuszeństwo”, a jego „tak” zabrzmiało niczym wołanie oficera budzącego drzemiących wałkoni.

Beth mogłaby uznać swój ślub za marną farsę, gdyby nie siarczasty całus, którym na koniec obdarzył ją Jack – on podszedł do rzeczy całkiem serio Westchnęła głęboko, podobnie jak większość dam zgromadzonych w salonie. Jej mąż okazał się niepoprawnym romantykiem

Czuła, że naprawdę została mu poślubiona Należała do Jacka Keitha, a on należał do niej. Na dobre i złe. Co się stało, to się nie odstanie

Kilka godzin później Eufemia wzięła Colina pod rękę Razem weszli po schodach Nowożeńcy pojechali wcześniej do Whitfield Manor, a teraz goście zbierali się do odjazdu Wesele trwało do późnego wieczoru

Eufemia cieszyła się, że będzie dziś z Colinem pod jednym dachem. Postanowił zostać w Goodson House, żeby para młoda w noc poślubną miała dom wyłącznie dla siebie.

– Pokażę ci tylko, gdzie masz spać – powiedziała Eufemia



– Jakże to uprzejmie z twojej strony, że zadajesz sobie tyle trudu  
– odparł z łobuzerskim uśmiechem

– Możemy być dumni z naszej intrygi, prawda? Wszystko poszło jak z płatka – ciągnęła Eufemia z nieukrywaną dumą. – Beth niczego nie podejrzewa.

– Oboje jesteście urodzonymi konspiratorami, moja droga. Jack także nie zorientował się, że nim manipulujemy. Jedyne, czego mu było trzeba, to krótka rozłąka z ukochaną.

– To prawdziwe szczęście, że następnego dnia przyszedłeś do mnie, żeby spytać o dzieci Beth, zamiast zwrócić się z tym do niej. – Eufemia popatrzyła na niego z uwielbieniem. – Gdy powiedziałeś mi, jak bardzo Jack ją kocha, zdobyłam się na szczerść. Tobie zawdzięczają swoje szczęście.

– Ty również się do niego przyczyniłaś. Dobrze się stało, że od razu poinformowałaś wuja, kto jest prawdziwym dziedzicem tytułu i majątku. W przeciwnym razie nie wpadłby na pomysł, żeby przygotować ślub i wesele.

– Mylisz się. Od początku wiedział, jak z wami jest – wyjaśniła Eufemia. – W każdym razie po pierwszym tygodniu znajomości miał już jasny obraz sytuacji. Dawno temu postawił sobie za punkt honoru sprawdzać należycie wszystkich naszych wielbicieli. – Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się, pokazując urocze dołeczki. – Udawał, że popiera tego łotra Artura Harnella, aby zachęcić Beth do wybrania innego adoratora. Musisz przyznać, że taktyka okazała się skuteczna.

Rozbawiło ją pełne niedowierzania spojrzenie Colina.

– Od początku wiedziałaś, że nie dziedziczę? – zapytał. – A mimo to zachęcałaś mnie...

– Nie tylko wuj lubi być dobrze poinformowany – oznajmiła. – On szuka informacji, ja nadstawiam ucha.

Eufemia obserwowała go kątem oka. Kręcił głową, jakby nie był w stanie przyjąć do wiadomości tego, co usłyszał. Nie pierwszy raz przekonała się, że mężczyznami trzeba niekiedy dyskretnie pokierować i pomóc im w podjęciu właściwej decyzji.

– Doczekam się twoich oświadczeń czy będę zmuszona nadal cię przekonywać? – spytała z czarującym uśmiechem.

Colin westchnął bezradnie.

– Obawiam się, kochanie, że teraz niewiele mogę ci zaoferować.

– Dasz mi siebie – odparła. – To wystarczy. – Mówiła szczerze, lecz wiedziała od wuja, że po babce od strony matki Colin odziedziczy wkrótce okrągłą sumkę. Postanowiła jednak nie ujawniać niespodzianki.

Rozpogodził się, przystanął na schodach i objął dłońmi jej twarz.

– Jak mogłem sądzić, że jesteś interesowna? Dlaczego udawałaś, że zależy ci na pieniądzach?

– Może bałam się, że złamiesz mi serce? – Łzy stanęły jej w oczach.

– Najdroższa, oboje imaliśmy się rozmaitych sztuczek, chcąc ukryć prawdziwe uczucia – powiedział. – Ale to bezcelowe, prawda?

– Najzupełniej – przyznała. Jej oczy lśniły w blasku świec jak gwiazdy. – Chodź, uczcijmy nasze porozumienie kieliszkiem

najlepszego wina z piwnicy wuja. Kazałam zanieść karafkę do twojego pokoju.

Colin zmarszczył brwi.

– Jesteś pewna, że to rozsądne, Eufemio? Ktoś nas może zobaczyć. Pamiętaj, co spotkało Harnella i Aurelię Sapps.

– Doskonale pamiętam – oznajmiła, wzruszając ramionami i uśmiechając się do niego przekornie.

– Widzę, że jesteś zdecydowana ostatecznie mnie przekonać, czy tak, Eufemio? – powiedział z równie chytrym śmieszkiem.

W drodze do Whitfield Manor Jack toczył ze sobą zażartą walkę, by zapanować nad pożądaniem, a Beth bezkarnie używała wszelkich kusicielskich sztuczek. Tak samo droczyła się z nim przez całe popołudnie i wieczór, więc trudno było mu trzymać ręce przy sobie.

Ledwie stanęli przed wielkim starym gmaszyskiem, gdzie hulały przeciągi, pożałował, że nie zabrał Beth w podróż poślubną do innych, bardziej romantycznych miejsc. Gdyby się jednak na to zdecydował, podróż byłaby znacznie dłuższa, a przecież niecałe pięć mil okazało się dla niego trudną próbą.

Wziął Beth na ręce, gdy stary lokaj otworzył im wejściowe drzwi.

– Carnes, mam żonę! – krzyknął. – Nie uwierzysz!

– Pewnie, że nie uderzę! Za kogo pan mnie uważa? – obruszył się głuchy jak pień, ślamazarny starzec. – Za stary jestem, żeby kogoś bić.

Beth chichotała, gdy Jack niósł ją na górę. Objęła go ramionami za szyję, głaszcząc kark i ciemne włosy.

– Igrasz z ogniem, kusicielko – oznajmił, rzucając ją na łożo.

Wybuchnęła radosnym śmiechem, zrzuciła pantofle i zdjęła rękawiczki.

– I kto to mówi?

– Mogłaś poczekać, aż będziemy w domu, zamiast uwodzić mnie w powozie – oznajmił z udawaną pretensją, siadając obok niej na pościeli. Zdjął buty i nagle spoważniał. – Mam nadzieję, że nie będziesz żałować swojej decyzji.

– Ja również – odparła z równą powagą. – Myślisz, że daliśmy się ponieść emocjom? A jeśli uznasz, że to pomyłka?

– Nie ma mowy. Zawsze będę zdania, że postąpiliśmy właściwie. – Przytulił się do Beth i na potwierdzenie tych słów pocałował ją zachłannie, lecz bez pośpiechu. Podzielał jej radość i obawy.

– Przestań się zamartwiać – szepnął. – Życie bez ciebie to najgorsza niedola, jaką potrafię sobie wyobrazić, nasze małżeństwo jest z kolei największym szczęściem, którego bardzo pragnąłem.

Wtuliła się w niego i oddała pocałunek, utrudniając mu szybkie rozebranie ich obojga. Mimo to poradził sobie. Wkrótce leżeli obok siebie nadzy.

– Nie mogę się na ciebie napatrzeć – wyznał, urzeczony jej pięknnością. – Jesteś prześliczna. I tak słodko pachniesz. – Całował jej

szyję i małe, kształtne piersi, które nabrzmiwały w oczekiwaniu jego pieszczoty.

– A ty ziołami i egzotycznymi przygodami – odparła bez tchu.

– Ty jesteś moją największą przygodą. Żadna nie dostarczyła mi dotąd mocniejszych wrażeń. – Najchętniej wziąłby ją natychmiast, ale zwalczył to pragnienie i zwlekał, chcąc, żeby ich pierwszy raz wart był zapamiętania na długie lata. Wycałował każdy skrawek jej ciała: szczupłą talię, krągłe biodra, jędrne uda i kształtne łydki. Skórę miała ciepłą i gładką. Odtąd tylko on miał prawo jej dotykać. Zadrżała, gdy wsunął dłoń między jej uda i wydała przeciągły jęk, po którym całkiem stracił głowę.

– Twój głos odbiera mi rozum – szepnął, przesuwając rękę jeszcze dalej. Mąciło mu się w głowie, bo czuł, że już pora, żeby się połączyli. – Wiem, że mnie pragniesz. A ja ciebie. Tylko ciebie.

Za odpowiedź wystarczyło mu błagalne westchnienie. Przyłgął do Beth, żeby przyjąć dar. Nie był jej pierwszym mężczyzną, ale odtąd stanie się jedynym.

– Nie mogę dłużej zwlekać – uprzedził, wchodząc w nią szybciej, niż zamierzał.

Gdy nagle wstrzymała oddech, natychmiast zrozumiał swój błąd i znieruchomiał. Przez kilka sekund nie był w stanie złapać tchu.

– Beth, oszukałaś mnie – jęknął w końcu oszołomiony. A jednak był pierwszy. Pierwszy i jedyny.

– Sam się oszukałeś. Ja nic nie mówiłam – wymamrotała, zachęcając go, żeby posiadał ją i dokończył, co zaczął.

Zwolnił tempo, choć przyszło mu to z wielkim trudem. Poruszał się leniwie, z długimi przerwami, chcąc dać jej czas, żeby przywykła do nieznanego doznań.

– Cudowna – szeptał czule i namiętnie. – Niezrównana. Jedyna w swoim rodzaju.

Miał za żonę prawdziwy skarb.

Podążała za nim tak ochoczo, że musiał się bardzo pilnować, aby przedwcześnie nie zapomnieć o narzuconych sobie ograniczeniach. Gdy poczuł, że całkiem się zatracą, Beth mu uległa, darząc bezmiarem rozkoszy. W najśmielszych marzeniach nie przewidywał, że dane mu będzie dostąpić podobnych uniesień.

Zapomniał o całym świecie, pochłonięty cudownymi doznaniem, a gdy minęła zapierająca dech chwila całkowitego spełnienia, długo leżał bez sił. Ich złączone ciała stanowiły doskonałą jedność.

– Jesteś zdumiony, prawda? – Słowa Beth sprawiły, że wrócił do rzeczywistości.

– Owszem. Teraz sam nie wiem co myśleć – przyznał. Najchętniej leżałby tak bez końca, skupiony na cudownych odczuciach. Z ociąganiem odsunął się, żeby mogła swobodnie oddychać.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Aha – mruknęła. Odniósł wrażenie, że się uśmiecha. – Znakomicie. Od początku sądziłam, że jesteś w tych sprawach

nadzwyczajny, ale rzeczywistość przeszła moje oczekiwania. – Zadrżała i mocniej się do niego przytuliła.

Jack chciał posiąść ją znowu, ale uznał, że trzeba odczekać, aż serce, które wciąż kołatało gwałtownie, uspokoi się i powróci do zwykłego rytmu. Poza tym ciekawość nie dawała mu spokoju.

– Jak to się stało, że masz tyle dzieci? – spytał. Zważywszy na okoliczności, te słowa wydały mu się absurdalne.

– Adoptowałam je – wyjaśniła. – Chyba ci to nie przeszkadza?

– Teraz rozumiem, dlaczego jednak nie są do ciebie podobne – odrzekł, leniwie głaszcząc ją po plecach.

– Racja.

– Aha, jak ma na imię najmłodsze? – zapytał. – Nie powiedziałaś mi.

– Bo nie spytałeś. To dziewczynka, Debora. Same córeczki.

Jack z uśmiechem przytulił twarz do jej szyi.

– W takim razie trzeba postarać się o synków. Dziewczynkom potrzebni są bracia. Poza tym musimy spłodzić dziedzica tytułu i majątku. Spróbujemy? – Objął Beth, przekreślił się na plecy i pociągnął ją za sobą, aż znalazła się na górze. Uwielbiał czuć całym ciałem jej bliskość. Pod każdym względem idealnie do siebie pasowali.

– Dziedzica? – powtórzyła zdziwiona, opierając się na torsie męża, by popatrzeć mu w oczy. – Ach, rozumiem. Na razie według prawa dziedziczysz po Colinie, ale on na pewno będzie miał własne potomstwo.

Pora wyznać całą prawdę.

– Whitworth to ja, Beth, nie Colin.

Zmarszczyła brwi i mocno pociągnęła go za włosy na piersi.

– Oszukałeś mnie!

– Sama się oszukałaś – odparł, powtarzając jej słowa. – Jesteś zła, że dałaś się nabrać?

Odwróciła wzrok i przez chwilę patrzyła ponad jego głową, jakby zastanawiała się, czy zrobić awanturę. Wkrótce znów spojrzała mu w oczy.

– Są święta, więc ci wybaczę, ale od dziś nie mamy przed sobą żadnych sekretów. Dość zagadek. Tylko szczerłość.

– W takim razie musisz powierzyć mi ostatnią tajemnicę, którą dotąd ukrywasz.

– O co ci chodzi? – zapytała.

– Przyznaj się, że mnie kochasz, głuptasie. Przecież to jasne jak słońce. Choćbyś zaprzeczyła i tak nie uwierzę.

Roześmiała się.

– Spróbuj mnie zmusić. Ciekawe, jak wydobędziesz ze mnie to wyznanie.

– Dopnę swego, nim nadejdzie świt. Będiesz mi to szeptać i śpiewać.

Głaszcząc opuszkami palców ciemne brwi pocałowała go na zgodę.

– Wesołych Świąt, Jack.



– Zapamiętamy ten dzień na zawsze – dodał jeszcze. –A przed nami całe życie.

RS